STYCZEŃ
1913 ROKU

ROK II
ZESZYT I



LITWA I RUŚ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY
KULTURZE, DZIEJOM, KRAJOZNAWSTWU
I LUDOZNAWSTWU

POD REDAKCJĄ JANA OBSTA

PRZY WSPÓŁUDZIALE FR. RAWITY-GAWROŃSKIEGO.

CENA ZESZYTU 60 KOP.

WILNO
DRUKARNIA WYDAWNICZA JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

TREŚĆ:

Wydawca FELIKS ZAWADZKI. Redaktor JAN OBST.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

	w Wilnie	na prowincji	za granicą
rocznie . .	Rb. 6.—	Rb. 7.—	Rb. 8.—
½ rocznie .	„ 3.—	„ 3.50	„ 4.—
kwartalnie .	„ 1.50	„ 1.75	„ 2.—

Wysyłamy także za zaliczeniem pocztowem. Na koszt zaliczki doliczamy 25 kop.

Listy w sprawach prenumeraty i pieniądze adresować należy: Do administracji miesięcznika Litwa i Ruś, Wilno, ul. Suworowska (Bernardyńska) 3.

Adres Redakcji: Wilno, zaułek Zamkowy N-r 11.



Edward Römer: CHATA W LESIE.

Przykład: Sycyljanin oraz mieszkaniec Alp włoskich. Bawarczyk i — Prusak. Bretończyk — Alzatczyk i — Gaskończyk.

Podobne warunki i u nas musiały się rozwinąć, odkąd plemię nasze rozmnożywszy się, rozszerzyło na ogromnej przestrzeni Europy środkowej i wschodniej. Poczuwając się do jedności najściślejszej pod względem narodowym, kulturalnym, wyznaniowym i politycznym, wytworzyliśmy przecie szereg cały typów i odcieni, różnice te zaś najwyraźniej zaznaczają się na naszych kresach północnych i wschodnich, gdzie oprócz odmiennych warunków miejscowych, geograficznych, niewątpliwy wpływ wywrzeć musiała znaczna domieszka krwi bądź to litewskiej, bądź ruskiej.

Powtarzam, co pisałem na tem miejscu przed paru tygodniami: te cechy miejscowe, które charakteryzują nas, odróżniając od Mazurów Wielko - i Małopolan—to nie zdrożny separatyzm, to święte dziedzictwo po przodkach naszych, które winniśmy zachować, które wyraz swój musi znaleźć w życiu naszem i naszej twórczości.

Odmienne warunki bytu, ziemi, na której wyrośliśmy, nieba, pod którem żyjemy, wyciskają piętno niezatarte na produkcji artystycznej—nie dziw, któż bowiem ściślej obcuje z przyrodą, kto głębiej wnika w jej tajniki, kto sercem wrażliwem lepiej potrafi ułowić najsubtelniejsze jej odcienie— jeżeli nie artysta. Szukając odpowiednich przykładów zagranicą, musimy jednak mieć się na baczności, jeżeli bowiem weźmiemy takie np. Monachjum lub Düsseldorf, stanowiące niewątpliwie każde swój odrębny kierunek w sztuce, to różnicę te należy przypisać nie tyle miejscowej glebie, ile tamtejszym akademjom, wytwarzając pewną rutynę; klasycznym natomiast przykładem byłaby powszechnie śród kół fachowych znana Worpswede.

Nie oglądając się daleko za przykładami, wolę wrócić do naszych stosunków.

Niezmiernie bogata jest danina, jaką złożyła Litwa do wspólnej polskiej skarbnicy kulturalnej.

Charakterystyczne, lokalne cechy twórczości naszej wyraźnie się uwydatnią jeżeli przeciwstawimy np. Mickie-

wicza—Krasińskiemu, lepiej jeszcze Syrokomlę—Lenartowiczowi, Moniuszkę—Chopinowi. W dziedzinie sztuk plastycznych nie przeprowadzono dotychczas podobnego porównania, nie wyodrębniono Litwinów z ogólnej grupy artystów polskich.

Swej wyższej uczelni czyli akademji sztuk pięknych we właściwem słowa znaczeniu Litwa nie posiadała. Wprawdzie przy Uniwersytecie Wileńskim był swego czasu wydział rysunku, malarstwa i rzeźby, nie dano mu było jednak rozwinąć się, gdyż zniknął wraz z upadkiem uniwersytetu. Zasługa niewątpliwa, którą położył, to zainteresowanie społeczeństwa miejscowego dla sztuki oraz położenie pierwszych fundamentów techniki malarskiej i rysunkowej na naszym gruncie.

Młodzież nasza artystyczna zdobywała swą technikę na szerokim świecie, w takich środowiskach jak Kraków, Monachjum, Paryż, Petersburg, stąd oczywiście wielka różnorodność kierunków. Jeżeli jednak w dziełach mistrzów naszych miejscowych da się odnaleść pewna nić złota wiążąca cały ten dorobek artystyczny w jeden wieniec, zawdzięczyć to trzeba odrębnym cechom charakteru i talentu artystów litewskich, cechom wyrosłym na gruncie litewskim, stanowiącym naszą bezsprzeczną własność.

Sądząc powierzchownie, można by powiedzieć, jeżeli pejzażyści litewscy odtwarzają ojczyste krajobrazy, to pewne podobieństwo jest uzasadnione i zrozumiałe. To samo można powiedzieć o typach litewskich. Takie podobieństwo byłoby jednak całkiem zewnętrzne, w danym razie chodzi nam zgoła o coś innego. Przekonani jesteśmy, o ileby artysta wielkopolski (nie mówiąc już o cudzoziemcach) bawiąc chwilowo na Litwie i zachwycony melancholijną pięknością jej przyrody, namalował pejzaż litewski, odczuł by go inaczej zgoła, niż artysta litewski.

Tak samo pewni jesteśmy, że artysta litewski, chociażby malował widoki włoskie lub krajobraz polarny, w gruncie swej twórczości pozostałby Litwinem. Nie oto bowiem chodzi co się widzi i co maluje, lecz oto jak się widzi, jak odczuwa i jak odtwarza.



Edward Römer: ZADYMKA.

Głęboki, choć niedoceniony myśliciel i esteta Henri Frédéric Amiel powiada, że „Krajobraz jest stanem duszy“, czyli, że jest on całkiem subjektywnym wyrazem twórczości artystycznej. Niewątpliwie. Nie trzeba zresztą być artystą, każdy przyzna, że ten sam krajobraz inaczej chyba wygląda w oczach barbarzyńcy, inaczej w oczach człowieka kulturalnego, inaczej odczuwa go melancholik, inaczej sangwinik. Zresztą my sami, patrząc codziennie na jeden i ten sam krajobraz, nawet przy warunkach tej samej pory roku, pogody i oświetlenia, zgoła inne odnosim wrażenie, zależnie od wewnętrznego naszego nastroju.

O ile jedak sam krajobraz zmienia się zależnie od stanu duszy naszej, o tyle z drugiej strony niezaprzeczony i wielki chociaż powolny jest wpływ tego krajobrazu na ukształtowanie się tej duszy. Słowem są to dwie potęgi, które działają wzajemnie na siebie. Nie ulega wątpliwości, że krajobraz wiecznie mglisty, że blade słońce północy inne wytwarza charaktery i usposobienia, niż przesycone powodzią światła i najgłębszego lazuru niebo południowe.

Oto są zasady, które pozwalają nam wyodrębnić sztukę i artystów litewskich w grupę osobną, terytorjalną, niezależnie od różnic, które tu pod względem kierunku, techniki i rodzaju panować mogą. Zamiast teoretycznie uzasadniać naszą hipotezę, wolimy w szeregu ilustrowanych monografji przedstawić twórczość artystów litewskich, zarówno żyjących, jako też tych, co przeszli do historji. W ten sposób powstanie album „sztuki litewskiej“, która w naszym narodowym dorobku artystycznym oby poczesne zajęła miejsce.

Zamieszczając monografje pojedyńczych artystów nie będziemy się przytrzymywali jakiego bądź porządku czy to chronoligicznego lub innego — w wydawnictwie perjodycznem, przywiązanem do pewnych terminów, jest to niestety niemożliwem. Będziemy więc dawali materjały w miarę ich napływania, a raczej zdobywania, przeplatając ile można artystów współczesnych okazami sztuki czasów minionych.

Na początek wybraliśmy zgasłego przed kilkunastu laty przedwcześnie Edwarda Römera, artystę wielkiej miary, zamało niestety znanego szerszej publiczności, którego twór-

czość dla nas zwłaszcza niezmiernie jest ciekawa ze względu na jej wybitnie swojski, litewski charakter.

EDWARD RÖMER[1]).

Pochodził z prastarej, niemiecko-krzyżackiej rodziny, osiadłej tu od XIII wieku, która krajowi naszemu dała kilku wybitnych, dobrze zasłużonych synów.

Wnuk w prostej linji Michała Römera, prezydenta m. Wilna, następnie marszałka gub. Wileńskiej, jednego z głównych inicjatorów pamiętnej z r. 1822 zbiorowej prośby do tronu o zniesienie poddaństwa, wielkiego mistrza loży masońskiej, mieszczącej się w jego domu, założyciela Dobroczynności i prezesa komisji edukacyjnej.

Zamiłowanie do sztuki artysta nasz odziedziczył po ojcu, także Edwardzie, który, będąc studentem Uniw. Wileńskiego, uczęszczał na wydział malarstwa jako jeden ze zdolniejszych uczniów Rustema. W sprawozdaniu o „pierwszem wystawieniu dzieł sztuk pięknych w cesarskim Uniwersytecie wileńskim“-[2]), właściwie wystawy prac uczniowskich z roku 1820 znajdujemy pod numerem 99-tym „Roboty Edwarda Römera szkiców sztuk 20, piórem i kredką robionych“. W późniejszych latach raz tylko wystąpił na widok publiczny z rysunkami do pieśni St. Moniuszki w wydaniu wileńskiem. Atoli zostawił mnóstwo akwarel, rysunków, scen domowych, wnętrzy, krajobrazów swojskich oraz pochwyconych w po-

---

[1]) Szczegóły biograficzne zawdzięczamy w pierwszym rzędzie wdowie po ś. p. Ed. Römerze pani Józefie z Czechowskich, która z czcią wielką skrupulatnie przechowuje bogatą stosunkowo spuściznę: zarówno prac oryginalnych jak też fotografji, przedewszystkiem zaś duży zbiór szkiców, projektów dorywczych i t. p. Dalej winniśmy tu złożyć podziękę pani Wili Zyndram-Kościałkowskiej, za łaskawie nam udzielone nader cenne wskazówki, p. Helenie Römerównie, artystce i uczennicy ś. p. Edwarda, oraz p. Lucjanowi Uziębłe, niestrudzonemu i wysoce zasłużonemu biografowi wileńskiemu, którego świetny artykulik, poświęcony pamięci przedwcześnie zgasłego artysty wydrukował „Tygodnik Illustrowany“ w № 13 roku 1900.

[2]) „Dziennik Wileński“ tom II, Rok 1820, str. 360.

dróżach, typów, przeważnie rzeczy sztambuchowych, niezmiernie starannie wykończonych i modą ówczesną wygładzonych, wdzięcznych, nieraz wytwornych.

Artysta nasz Edward Römer (syn) przyszedł na świat 1848 r. na dalekim wygnaniu w Wołogdzie, dokąd ojciec jego zesłany został za udział w sprawie Konarskiego. Łaskawszy los wraca go niebawem w r. 1852 z rodziną w strony ojczyste.



Edward Römer.

Od najwcześniejszej młodości dni jego upływają w atmosferze piękna i sztuki, gdyż starszy od jego o lat 16 brat przyrodni Alfred był już skończonym artystą, gdy Edward niewprawną ręką pierwsze stawiał kreski.

Początków rysunku udzielał mu ojciec, tem samem nawiązując ową nić złotą, która połączyć miała tradycje dawnej wileńskiej szkoły sztuk pięknych — Czechowicza, Smuglewicza, Rustema, Damela—z nowszą sztuką, nowemi kierunkami. Prócz ojca, wileńskiemi nauczycielami rysunku byli mu Kanut Rusiecki i Jan Zienkiewicz.

Ukończywszy gimnazjum w r. 1867 wyjeżdża na dalsze studja do Drezna, gdzie przebył do 1869 r. pilnie doskonaląc się w rysunku. Niektóre piórkowe prace jego z tego czasu reprodukowane były w pismach niemieckich, zwłaszcza w „Leipziger Illustrirte Zeitung".

Niebawem jednak przyciąga go Monachjum swoją wszechświatową na on czas sławą. Tu zapisuje się początkowo do szkoły malarskiej F. Adama, kolejno doskonali się u innych profesorów, w tej liczbie u Piloty'ego. Niemniejszy wpływ od profesorów, wywiera na młodym artyście koleżeński stosunek z mistrzami tej miary jak Brandt, Maks Gierymski, Kowalski i zwłaszcza Czachórski.

W r. 1878 wraca do kraju, urządza pracownię w historycznym domu dziadka swego Michała przy ul. Bakszcie, gdzie ongi mieściła się loża masońska. Tutaj w dalszym ciągu oddany ukochanej sztuce, coraz rzadziej jednak występuje na widownię publiczną. Pamiętający go, w ten sposób kreślą sylwetkę sympatycznego artysty: Wesół, towarzyski, gościnny, prosty i serdeczny, w młodości skłonny do szarży, wygimnastykowany, gibki w ruchach, tancerz wyborny, jeździec doskonały, ostatnie lata spędził w odosobnieniu, na łonie rodziny, lub w gronie najbardziej zażyłych przyjaciół, w wiejskiej zaciszy nad Niemnem, w Łunnie, dziedzicznym majątku swej żony Józefy z Czechowskich, skąd w ostatnich czasach chorobą serca i płuc sterany nawet do swego ukochanego Wilna nie zjeżdżał.

Umarł 10 lutego 1900 r. niewypowiedziawszy zapewne ostatniego słowa, nie wyciągnąwszy ze swej bogatej palety ostatniej barwy.

Jako artysta zawdzięczał niezmiernie dużo wpływom Monachijskim. Tam położony został właściwy fundament, wytknięta droga dla całej późniejszej twórczości. Z drogi tej nie zboczył już na krok, na chwilę nie dał się porwać prądom późniejszym, pozostał wierny raz obranemu kierunkowi. Każdy z późniejszych obrazów jego na pierwszy rzut oka zdradza Monachijczyka.

To co wyniósł z pracowni monachijskich, co stało się jego artystycznem *credo*, da się streścić krótko w tych sło-



Edward Römer: KULIG.

wach: sumienność i realizm w wykonaniu, idealizm a nawet romantyzm w pojmowaniu przedmiotu.

Technika zdobyta na szerokim świecie, wpływy obce, chociaż zbawienne, nie zabiły jednak w nim indywidualności. W gruncie pozostał on szczerym, artystą nawskroś swojskim, litewskim, nietylko w wyborze tematów przeważnie swojskich, ale też w ich traktowaniu.

Kolorystą nie był, barw jaskrawych nie miał na swej palecie. Blade niebo litewskie, melancholja dnia jesiennego, cisza zachodu, zimowa zadymka—oto ulubione tony, z których układała się pieśń przedziwna, pełna wielkiego, serdecznego umiłowania stron rodzinnych.

Efektów nie szukał, w pomysłach nie szeroki, tem głębiej odczuwał przedziwny nastrój litewskiego krajobrazu.

Ruchu nie pojmował i nie umiał odtworzyć. W bogatej spóściźnie jego widzieliśmy między innemi szkic ołówkowy, jedną z najwcześniejszych prac artysty, przedstawiający kiermasz Św. Kazimierza na placu Katedralnym, ogromnie ciekawy ze względu na koloryt lokalny, mnóstwo sportretowanych osób, popularnych swego czasu w Wilnie, w strojach charakterystycznych drugiego cesarstwa — atoli absolutnie pozbawiony ruchu i zgiełku jarmarcznego.

Nawet wtedy, gdy maluje sceny o wielkiem napięciu dramatycznem, przedstawia raczej moment skupienia, moment ciszy złowrogiej przed burzą. Do tej kategorji należy jeden z najlepszych może obrazów artysty: „Czaty“, którego reprodukcję zamieszczamy: Na tle swojskiego krajobrazu dwóch jeźdźców, jak gdyby zastygłych w oczekiwaniu, w pozie doskonale schwyconej, scena pełna prawdy i realizmu a przytem jakże romantyczna, jak za serce chwyta!

Obraz ten wykonał artysta dwa razy. Oryginał znajduje się zagranicą w nieznanem ręku, powtórzenie jest własnością p. Izydora Römera.

Podobny w nastroju lecz traktowany szerzej, obraz dotyczący tej samej epoki „Chata w lesie“, niestety zbyt ciemny w kolorach. Reprodukcję tego obrazu również zamieszczamy. I tu przedstawił artysta chwilę odpoczynku, ciszy— lecz cisza to złowroga, w powietrzu unosić się zdaje przera-

żenie, a tam zdaleka skacząc przez rowy i płoty na spienionym koniu pędzi goniec złych wieści. Moment jeszcze—a zawrze tu życie gorączkowe, młody dowódca, co butnie, na wpół serjo, na wpół żartobliwie przekomarza się z żydem, wskoczy na koń, za nim jego junacy, i cały oddziałek, niby duchy nocne, cicho zniknie w ciemnych głębinach puszczy. Na skraju lasu samotna zostanie chatka leśnika.

Bardziej jednak od powyższych odpowiadały usposobieniu i zdolnościom tematy czysto pejzażowe jak np. podwórko i ganek wileńskiego domu artysty w „Zadymkę“. Obraz ten, do najlepszych, najpiękniej odczutych krajobrazów nastrojowych należący, odznaczony został na wystawie we Lwowie 1893 r. jest własnością wdowy. Reprodukcję jego zamieszczamy.

A oto „Kulig“. Kto inny, jak np. Brandt, pojął by go jako jazdę szaloną, pełną ruchu, życia kipiącego i wesela. U naszego artysty dominującą jest cisza zachodu zimowego, blada zorza wieczorna kładzie swe łagodne refleksy na śniegach, śmigające sanie harmonijnie łączą się z ogólnym nastrojem spokoju, ruchy końskie pełne rytmu, a para jeźdźców, co przystanęła przy drodze, na pierwszym planie, tworzy punkt stały, na którym odpoczywa oko widza.

Oryginał tego obrazu również jest własnością wdowy. Reprodukcję jego, niestety znacznie zmniejszoną, zamieszczamy.

Ograniczam się na wyliczaniu innych, bardziej znanych obrazów. Do najwcześniejszych należy „Pikieta“ (z jeźdźcem), „Powrót z Chrzcin“ (na Żmujdzi z 1871 r.), dalej obraz również „Zadymka“ zatytułowany, reprodukowany w „Tygodniku Illustrowanym“ (№ 13 roku 1900). Przedstawia karczmę przydrożną, przed nią grupa koni, zjeżonych od chłodu, cierpliwie, ze spuszczonemi łbami oczekujących na swych panów, gdy śnieżna zadymka pokrywa je mroźną, białą powłoką. Niemniej doskonała jest scenka „Przed stacją“. Kilka wózków chłopskich, bryczka ze dworu, śród błotnistej, rozmokłej drogi, na tle mglistego, jesiennego krajobrazu. Cisza senna i spokój zapadłej wsi, zdają się tworzyć dziwny kontrast z tem życiem gorączkowem, które, jeszcze



Edward Romer: MODLITWA.

daleko... za ramami obrazu, za chwilę może z łoskotem i świstem przemknie, przeleci po lśniących szynach i zniknie w oddali. Obraz ten sprzedany został do Bukaresztu. Reprodukcję zamieścił „Kraj“ petersburski jako kartę albumową w № 16 roku 1900.

Dalej: „W zapusty“, „Przed pracownią“, „Mam szaraka“ (kobieta na koniu i myśliwy), reprodukowane w „Tygodniku Illustrowanym“. „Mój dom“ efekt słoneczny, ku zachodowi, obraz odznaczony na wystawie w Monachjum 1892 r. nabyty przez prof. malarstwa de Haas do Brukseli. „Pod topolami“ ofiarowany przez artystę w r. 1896 na rzecz Domu Matejki w Krakowie. Rodzajowa scenka „Przy kartach“, niedokończony niestety „Objazd djecezji przez biskupa żmujdzkiego“, oraz ostatnia praca „Trzej Królowie“, scenka barwna na tle ulicznem zimowem, jest własnością Muzeum Tow. Nauki i Sztuki w Wilnie, ofiarowana przez wdowę, za pośrednictwem niezmordowanego kustosza Muzeum p. L. Uziębły. Wielką ilość szkiców ołówkowych i olejnych oglądaliśmy dzięki niezrównanej uprzejmości wdowy po ś. p. Edwardzie pani Józefy Römerowej. Są w tej liczbie studja przepyszne, mogące niemal figurować jako wykończone obrazy. Udatne zwłaszcza są typy żydowskie, jak np. „Modlitwa“, którą zamieszczamy w reprodukcji.

J. O.

Kat miasta Wilna.

Historykowi, badającemu zwłaszcza dzieje kultury i obyczajów wieków ubiegłych, niejednokrotnie wypada dotknąć takich przedmiotów, od których krew żywą falą czerwoną uderza w skronie, a na usta wybiegnie niebaczny okrzyk: „barbarzyńcy!“ Zanim jednak głośno sąd swój wypowie, niech wspomni, że podobny wyrok i na nas może gotują pokolenia przyszłe—najniesłuszniej. Rola sędziego trudna jest, odpowiedzialna i niewdzięczna, gdy chodzi o współczesnych, nieskończenie jednak trudniejsza i bardziej odpowiedzialna, w stosunku do wieków minionych i ludzi, którzy już nic ku swej obronie powiedzieć nie mogą. Najpospolitszym błędem, jaki się popełnia, jest sądzenie rzeczy dawno minionych z naszego punktu widzenia. Aby sprawiedliwie ocenić przeszłość, trzeba duchem przenieść się w tamte czasy, poznać z gruntu epokę, warunki bytu, panujące na onczas stosunki, a wtedy poznamy, że to, co się nam dziś niezrozumiałem i godnem potępienia wydaje, w swoim czasie było koniecznością, nawet postępem, że nasza kultura, z której tak dumni jesteśmy, opiera się na tej przeszłości i z nią najściślej jest spojona, słowem raz jeszcze stwierdzimy, że „tout comprendre c'est tout pardonner“, którą to maksymę wolałbym zacytować w formie mniej znanej, mniej kategorycznej, ale właściwszej i oryginalnej, jak wyszła z pod pióra pani de Staël: „tout comprendre rend très indulgent“.

Niewątpliwie spory zapas wyrozumiałości potrzebny jest, by z zimną krwią poznać i sprawiedliwie ocenić tak ciemną stronę życia przodków naszych jak średniowieczne sądownictwo i ówczesny wymiar kary. Przystępując atoli do tej drażliwej materji, winniśmy uprzytomnić sobie, że to, co w oczach naszych wydać się może bezmyślnem okrucieństwem, zanikiem ludzkości, często wypływało ze źródeł moralnych, było przesadnie może wygórowanem poczuciem sprawiedliwości. W wiekach jeszcze wcześniejszych, gdy to poczucie zgoła nie było rozwinięte, nieznano też kary śmierci za zabójstwo, rodzinie zamordowanego płacono wynagrodzenie pieniężne, lub pewną ilość bydła, odpowiednio do wartości zabitego: mniej za starców, dzieci i kobiety—więcej za mężczyzn w pełni siły. Dopiero w miarę jak wzrastała idealna wartość życia ludzkiego, zwiększala się odpowiedzialność, przyczem surowszą była kara za zabójstwo słabszych, czy to dzieci, czy starców, niżeli za zabójstwo silnego męża, zdolnego do obrony. Srogość kary wypływała z obrzydzenia jakie miano do występku. A nienależy zapominać, że podług ówczesnych zapatrywań, kara była zadośćuczynieniem, zapłatą za przestępstwo i wyrównaniem jego. Pojęcie kary, jako czynnika poprawczego, jest wynalazkiem najnowszych czasów, i—przyznajmy—dotychczas istnieje tylko w teorji, boć chyba nie można na serjo nazwać instytutem poprawczym tych klubów i akademji złodziejskich, jakiemi są nasze współczesne więzienia.

Ogólnie potępiona przez nowoczesny proceder sądowy tortura, miała również pewne podstawy etyczne, i w każdym bądź razie stanowiła swego czasu pewien postęp w sądownictwie średniowiecznym, gdyż chodziło tu bowiem o wykrycie prawdy za każdą cenę. Przedtem sędziowie nie utrudzali się wyszukaniem dowodu. Wystarczało oskarżenie, zwłaszcza jeżeli poparte było przysięgą. Wiarogodności świadków również nie sprawdzano; nieco później znowu, gdy krzywoprzysięstwo poczęło się szerzyć przerażająco, nieznano innego wyjścia, jak oddawać sprawy na tak zw. „sąd Boży“, co znowu równało się wydaniu słabszego na pastwę silniejszego. Dopiero zastosowanie tortury popycha sądownictwo na właściw-

sze tory, stawiając jako warunek skazującego wyroku—wyznanie delikwenta. Jest to tylko jednym jeszcze dowodem niedoskonałości wszelkich instytucji ludzkich, zwłaszcza w ich początkowem stadjum rozwoju, że owego niezbędnego wyznania nie umiano inaczej wymódz na delikwencie jak za pomocą mąk, przechodzących srogością swą niejednokrotnie winę. Uznając oczywiście nieskończoną wyższość etyczną naszego dzisiejszego postępowania śledczego, trudno jednak zamknąć oczy na tę jego słabą stronę, że nasi sędziowie, częstokroć wbrew najgłębszemu przekonaniu, zmuszeni są uniewinniać jawnego przestępcę, jedynie dla braku formalnych dowodów. Coś podobnego nie dałoby się jednak wcale pogodzić z pojęciem średniowiecznem, domagającem się za każde przestępstwo bezwarunkowo zadośćuczynienia, wołającem o krew za krew. Toć bywały wypadki, gdy sądzono najformalniej i dokonywano wyroku na zwierzętach, gdy te przypadkiem stały się przyczyną czyjejś śmierci.

Tłumiąc naturalne zresztą uczucie zgrozy, przyznamy nareszcie, że samo ustanowienie urzędu kata — jakkolwiek odrażająca to postać — było wielkim postępem, przedtem bowiem sądy ograniczały się do wydania wyroku, wykonanie jego—nawet jeżeli to był wyrok śmierci—należało do strony skarżącej, pokrzywdzonej. Ten zwyczaj istniał też w Polsce, pojedyńcze wypadki dokonania egzekucji na winnym przez poszkodowanego zdarzały się jeszcze w XV wieku. Pozatem pozwalano też poszkodowanemu na swe konto sprowadzać kata, jeżeli tego nie uczynił, wypuszczano zbrodniarza. Dopiero później rozwija się pryncyp kary, nie jako zemsty prywatnej, lecz publicznego zadośćuczynienia. Nastąpiło więc stadjum przejściowe, gdy wymiar kary był obowiązkiem najmłodszego z sędziów, następnie zaś zdecydowano się ustanowić osobnego urzędnika, który w Niemczech np. pod nazwą „Nachrichter“ lub „Scharfrichter“ cieszył się najzupełniejszą powagą, był dobrze widziany w towarzystwie niższych urzędników lub zamożniejszych mieszczan. U nas jakkolwiek krwawe rzemiosło „Mistrza“ nie było właściwie hańbiące, jak jego pomocników—hyclów, przecie naród instynktownie od nich stronił, zmuszeni też byli prowadzić życie dość sa-

motne, jakoż większość ich była pochodzenia niemieckiego, sprowadzeni z Królewca lub innych miast niemieckich do Polski.

Broniąc ustanowień średniowiecznych, a raczej przedstawiając je we właściwym świetle, nie myślimy oczywiście ukrywać drugiej strony medalu, nie możemy zamilczeć, że obok pobudek moralnych, niepośledną rolę grały też instynkta ujemne: okrucieństwo, wrodzone specjalnie rodzajowi ludzkiemu. Słusznie zaznacza John Stuart Mill, że okrucieństwo nie jest wyłącznie brakiem współczucia, jest raczej objawem samobytnym, wypływającym z najgłębszych tajników naszego ustroju psychicznego, uczuciem pokrewnym rozkoszy zmysłowej. Jakoż rzeczywiście, począwszy od Nerona, dałoby się setki wyliczyć przykładów, gdzie wybujałość zmysłów szła w parze z niezwykłem okrucieństwem. Instynkt ten, osłabiony przez wyższą kulturę, istnieje mimo to w zarodku w każdym człowieku, objawia się zwlaszcza u dzieci. Gdy zaś wynajdzie się teorję, która w oczach świata, a nawet wobec własnego sumienia okrucieństwo czyni koniecznem, wtedy instynkt ten wybucha żywiołowo, krzewi się jak roślina w klimacie podzwrotnikowym, fantastycznych dochodząc rozmiarów. Coś podobnego widzimy w wiekach średnich. Niesprawiedliwością byłoby zarzucać im ogólnikowo braku ludzkości, niezrozumienia uczuć humanitarnych, altruizmu, były przecie przykłady liczne bezgranicznego wprost poświęcenia się, że wspomnę naprzykład pielęgnowanie trędowatych, obok tego jednak przykłady okrucieństwa, przechodzącego istotnie nieraz pojęcia nasze, i tylko pocieszyć się można, że przechodziły one prawdopodobnie nietylko pojęcia, ale wytrzymałość ludzką. Jakoż faktem zdaje się być niezawodnym, że istnieją granice cierpienia, po których następuje znieczulenie nerwów. Granice te oczywiście bardzo szerokie i u różnych osobników rozmaite. U nerwowców takie znieczulenie dość wcześnie musiało następować, czego dowodzą niezliczone procesa czarownic, gdy słabe, histeryczne dziewczęta z uśmiechem znosiły najstraszniejsze męczarnie, nie czułe absolutnie np. na ukłucia szpilkami, co oczywiście zarówno ówcześni sędziowie jako też i same delikwentki przypisywały wyłącznie sztukom szatańskim.

Zresztą z jakiegobądź punktu widzenia traktowalibyśmy urządzenia średniowieczne, przy największem nawet pobłażaniu wypływającem ze zrozumienia epoki, i jej specjalnych warunków, przyznać musimy, że wyrafinowanie w zadawaniu męczarni dochodziło do takiego stopnia, iż samo opowiadanie dziś przechodzi częstokroć odporne siły naszych nerwów.

Istnieje przekonanie, przez niektórych historyków gorąco popierane, jakoby wszystkie okropności, tak pospolite na zachodzie, u nas, dzięki łagodnemu usposobieniu Polaków, w małej tylko części były praktykowane. Taki pogląd jest fałszywy, przeczą mu liczne, niezbite fakty. Niewątpliwem jest, że w teorji istniały u nas te wszystkie kary, które rozpowszechnione były na zachodzie, co najwyżej, przyznać możemy, że na ogół nie było u nas tego iście szatańskiego wyrafinowania i chorobliwego wprost rozkoszowania się w zadawaniu męki, jakie widzimy gdzieindziej, w praktyce przeważają u nas zwykle rodzaje kary śmierci, tortury pospolitsze, równie może bolesne, lecz mniej wymyślne i „wysubtelnione“. Jakie są różnicy tej powody? Czy łagodniejszy charakter polski, czy wyższość naszej kultury, a czy też kultury tej — niższość? To ostatnie przypuszczenie brzmi niemal paradoksalnie, całkiem jednak zrozumiałem się stanie, jeżeli zwyczaje średniowieczne przetłumaczymy niejako na nasz współczesny język, porównamy z panującymi dziś warunkami. Alboż nie posiadają najkulturalniejsze narody właśnie najbardziej udoskonalonych sposobów masowego tępienia życia: najlepszych armat, pancerników, aeroplanów? Wyrafinowanie tak w dodatnim jak ujemnym kierunku jest oznaką zwykle wyższej kultury, najwyżej rozwinięte sądownictwo znało też najbardziej wyszukany i urozmaicony wymiar kar. Nie chcę jednak porównaniem tem obniżać naszej kultury. Nasza polska kultura rozwijała się w odrębnych warunkach, przeważnie na wsi, a głównymi kultury tej przedstawicielami było duchowieństwo i szlachta. Pomijam duchowieństwo, jako ściśle związane z Rzymem, co się tyczy szlachty, posiadała ona swe pod wielu względami oryginalne prawodawstwo, powstałe z pierwiastków miejscowych, udoskonalo-

nych oczywiście na wzorach zachodnich. Podobnie jak stany uprzywilejowane innych krajów, nie znała kar hańbiących, tortury i t. p., jedynie mieczem mogła być karana. Pozycja prawna włościan różnymi czasy różna była, atoli stosunek do nich władzy, nawet wtedy, gdy był surowy, miał zawsze pewien odcień patryjarchalności, charakter jakby ojcowski. Chcąc zapatrywać się na rzeczy wyłącznie z punktu racjonalistycznego, pomijając całkowicie względy i motywy idealne, możnaby zauważyć, że w kraju stosunkowo rzadko zaludnionym, życie kmiecia, wzbogacającego pracą swą społeczeństwo i jego uprzywilejowane warstwy, zbyt było cenne, aby niepotrzebnie miano krwią jego szafować. Nareszcie, co najważniejsze, samo życie wiejskie nie stanowiło tak podatnego gruntu dla zbrodni, któryby wyjątkowej wymagał surowości prawa. Pod tym względem niezrównanie większy interes posiadają dla nas miasta. Co się tyczy życia miast naszych, nie wyrosło ono na gruncie narodowym polskim, to też niesprawiedliwem byłoby czynić za nie odpowiedzialną kulturę polską. Jak ogólnie wiadomo, ludność miast naszych składała się pierwotnie przeważnie z kolonistów niemieckich, którzy potrafili język swój i obyczaj narzucić ludności polskiej. Mowa panowała wyłącznie niemiecka, zarówno w życiu prywatnem jak i publicznem, słowem były to właściwie filje miast niemieckich, posiadające zarówno prawodawstwo jak cały ustrój nie już wzorowane na miastach zachodnich, ale żywcem stamtąd przeniesione. Jakkolwiek były to więc dokładne „kopje“ miast niemieckich z ich urządzeniem, niezawsze mogły dorównać „oryginałom“, tak w dodatnim jak i ujemnym kierunku. Później oczywiście wzmaga się wpływ polski, bierze górę, wnosząc swój pierwiastek narodowy, nie zmieniając atoli pierwotnego charakteru zachodniego, jeno się z nim harmonijnie zlewa, uzupełniając niektóre braki, łagodząc chropowatości. W każdym bądź razie, aby poznać życie miast naszych, zwłaszcza pod względem sądownictwa i wymiaru kary, niezbędnem jest przyjrzeć się jego pierwowzorom—życiu miast niemieckich.

W wiekach średnich prawodawstwo na zachodzie było ogromnie rozmaite, odmienne dla każdego stanu i dla każdej

okolicy. Prawo przeważnie jest potrzebne dla normowania wspólnego pożycia ludności. Człowiek, żyjący samotnie na pustyni prawa nie potrzebuje, im w większem skupieniu żyją ludzie, tem bardziej niezbędnem staje się prawodawstwo, tem bardziej skomplikowane prawa. Dlatego to ustrój prawny najwcześniej i najbogaciej rozwinął się w miastach. Prawodawstwo miast niemieckich opierało się głównie na dwuch podstawach: miejscowem (saskiem) prawie zwyczajowem, oraz na prawie rzymskiem, wszystko zaś oczywiście zastosowane specjalnie do potrzeb i warunków miejskich. Inne stany w Niemczech swem odrębnem rządziły się prawem. W miastach, jakkolwiek wcześnie wyrobiła się swego rodzaju arystokracja, tak zw. patrycjat, przecie wobec prawa wszyscy obywatele miast byli równi—przynajmniej w teorji. Bo, że tam w praktyce czasem wpływy i pieniądz przeważały szalę sprawiedliwości na tę lub tamtą stronę, łagodziły ostrze prawa, to jest właściwem w mniejszej lub większej mierze wszelkim ustanowieniom ludzkim wszystkich czasów. W zasadzie jednak wszelkie starania wytworzenia osobnego prawodawstwa dla patrycjatu pozostawały bez skutku, pod tym względem miasta średniowieczne stały na stanowisku całkiem nowoczesnem równości przed prawem, gdy innym stanom daleko było do tego. Co się tyczy formy sądownictwa, różnemi czasy i w różnych miejscowościach była ona różna. Przeważnie jednak sąd składał się z sędziego lub sędziów i ławników. Sędzia przewodniczył, ławnicy wyrokowali. Wykonanie wyroku należało do kata, który własnoręcznie jednak wykonywał tylko karę honorową, t. j. ścinał mieczem, a także podpalał stos, inne natomiast kary, jako to wieszanie, ćwiartowanie, zadawnie mąk, policzkownie, wykonywali pod jego bezpośrednim nadzorem pomocnicy kata, czyli hycle, którzy w czasie wolnym trudnili się łapaniem psów i t. p. Kat był zarówno urzędnikiem i rzemieślnikiem, należał do cechu i zanim został wyzwolony, musiał wykonać majstersztyk, polegający na ścięciu głowy podług wszelkich prawideł sztuki. Urząd kata bywał nie z zasady lecz w praktyce zwykle dziedzicznym, i jak się rzekło, hańby nie przynosił.

Więzień w znaczeniu współczesnem nie było, gdyż i ka-

ra więzienna bardzo była ograniczona, na ogół panowało przekonanie, że utrzymywanie szkodników społecznych na koszt społeczeństwa, byłoby nietyle karą dla zbrodniarza ile dla Bogu ducha winnego obywatela, płacącego podatek na utrzymanie wrogów społeczeństwa i porządku. Przeważały więc kary doraźne, cielesne, więzienie zaś potrzebne było na czasowy pobyt zbrodniarza przed wyrokiem. Na ten cel służyła zwykle jedna z wież otaczających miasto. Dogląd nad więzieniem i więźniami często miewał kat. Wszelkie starania zaś wyłącznie ku temu były skierowane, aby uniemożliwić więźniowi ucieczkę, w tym celu przykuwano go do muru, obciążano łańcuchami i t. p. Stan więzień był okropny, panujące tam brudy przeraźliwe, często też razem z więźniami zamykano obłąkanych.

Po wyroku rzadko lub na krótko wracał delikwent do więzienia, gdyż z wykonaniem kary nie zwlekano. Kary były przeważnie dwojakiego rodzaju: na honorze i cielesne. Kary na honorze różne bywały: najpospoliciej stanie u pręgierza, lub tak zw. kuna, t. j. żelazo przytwierdzone do muru kościelnego lub drzwi kościelnych, do którego na czas pewien zamykano winowajcę, przeważnie za przestępstwa przeciw moralności. Dalej klatka żelazna, policzkowanie, ucięcie włosów, jazda na ośle, oblanie smołą i obsypanie pierzem. Piętnowanie. Bardzo często oczywiście kary na honorze połączone były z karą cielesną, jak np. bicie u pręgierza, wyświecenie z miasta i t. p. Najpospolitszą karą cielesną było smaganie. Dalej ucięcie różnych członków: ręki, ucha, języka, rwanie nozdrzów, kastracja. Kat musiał być dokładnie obeznany z anatomją, z czego zdawał egzamin, to też wielu katów obok swego rzemiosła uprawiało z powodzeniem... chirurgję; leczyli rany, ucinali członki, na co mieli specjalne pozwolenie.

Najpospolitsza była kara śmierci, stosowano ją przy lekkich przestępstwach, np. za kradzież. Jedynie za bardzo lekką kradzież, jeżeli pierwszy raz się zdarzyła, było smaganie i piętnowanie. Przy powtórnej kradzieży, a także za kradzież znaczniejszą i kradzież nocną była szubienica. Ścięcie

uważane było za karę honorową, przeważnie dla stanów uprzywilejowanych. Za herezję, czary, sodomję był stos, gdyż ogień oczyszczał. Najokrutniejsze było koło, przyczem kruszono kości, poczem żywcem wplatano pogruchotane ciało w sprychy poziomo ustawionego koła i tak na wysokim drągu na widok publiczny wystawiano, dopóki delikwent nie skonał. Rodzaj ten kary i u nas był praktykowany, o czem niżej. Dalej zaś: ćwiartowanie, na pal wsadzanie, żywcem pogrzebanie, zamurowanie żywcem (zwłaszcza mnichów), smierć głodowa i inne. Karę śmierci obostrzano mękami, szarpaniem rozpalonemi cęgami i t. p. Na ogół jednak kara bywała mniej skomplikowana i wyrafinowana od mąk torturowych, zadawanych przy śledztwie, to też niejednokrotnie zdarzało się, że niewinni przyznawali się dobrowolnie do niepopełnionej zbrodni, gdyż woleli zwykłą śmierć od katuszy tortury. O różności tych mąk świadczą zarówno stare ryciny, jako też narzędzia, których moc wielka przechowuje się w muzeach niemieckich.

Torturowanie odbywało się zwykle w osobnej izbie przy sali sądowej. Pręgierz stał zawsze przed ratuszem na rynku, tam publicznie wymierzano wszelkie kary jak np. smaganie, ucinanie członków, kary na honorze. Szubienica natomiast znajdowała się zwykle na wzgórzu za miastem, często były to słupy murowane z poprzeczką drewnianą. Szlachtę ścinano w więzieniu lub na podwórzu więziennem, rzadziej na rynku w obliczu tłumów, pozwalano też następnie na pogrzeb honorowy. Jako wielka ulga uważane było pozwolenie iść na śmierć w stroju świątecznym, tej niezwykłej łaski dobijano się usilniej może, niż darowania życia.

Po tych kilku ogólnikowych uwagach o ustroju miast i ich prawodawstwie w Niemczech, przechodzimy do stosunków polskich, którym szczegółowiej przyjrzeć się wypadnie. W pierwszych wiekach istnienia Polski miasta były nieznane [1]). Istniały tylko grody, czyli zamki obronne, ludność zaś wokoło nich zamieszkała, była to ludność służebna, zajmują-

---

[1]) Dr. A. Szelągowski: Wzrost państwa polskiego w XV i XVI w. Polska na przełomie wieków średnich i nowych.

ca się rozmaitemi posługami dla zamku, jak pasaniem bydła, lub też rzemiosłem. Istniały zresztą tak zw. podgrodzia, albo przygrodzia, służące za miejsce targów i zamieszkałe w części także przez rzemieślników. Właściwie stan miejski w Polsce poczyna się tworzyć dopiero od kolonizacji niemieckiej. Wtedy to przybyła ludność obcego, przeważnie niemieckiego pochodzenia, która przyniosła ze sobą rozmaite przemysły i poczęła też trudnić się handlem. Ten obcy element, z którego powstało mieszczaństwo w Polsce, sprawił jednocześnie to, że miasta prawie do w. XVI miały całkiem obcy charakter. Miasta na prawie niemieckiem mogli zakładać zarówno panujący, jak i prywatni właściciele ziemscy. Stąd i charakter miast był dwojaki, jedne z nich były to miasta królewskie, inne zaś prywatne, czy to duchowieństwa czy szlachty. Pierwsze—dzięki opiece panujących rozwinęły się najsilniej, zaludniły i zagospodarowały, reszta, były to miasta i miasteczka prywatne, których się bardzo dużo namnożyło ze względu na to, że panowie ciągnęli zyski nietylko z ziemi, ale i z domów, targów i rzemiosł.

Wzorem, na którym się kształcą miasta polskie, jest Magdeburg [1]). Dla jednych miast był to wzór bezpośredni, inne szły za przykładem Środy na Śląsku lub Chełmna w Prusach. Ale i te dwa miasta zorganizowane były według typu Magdeburga. Później, kiedy już w Polsce powstawało więcej miast, wcześninejsze, większe służyły za wzór dla późniejszych. Prawo obowiązujące w tych miastach, określano jako prawo magdeburskie lub chełmińskie.

Miasta miały swoją odrębną organizację sądową [2]), na czele jej stał wójt, która to godność była dziedziczną. Należał do niego nietylko wymiar kar, ale i ściąganie opłat sądowych. Sądy wójtowskie nazywały się także sądami ławniczymi, albowiem oprócz wójta zasiadali na nich także ławnicy z wyboru. Tutaj rozstrzygano sprawy cywilne i karne drobnego znaczenia. Od czasu do czasu odbywały się roki wielkie dla sądzenia spraw kryminalnych. Z czasem w więk-

---

[1]) Dr. St. Kutrzeba: Historja ustroju Polski w zarysie.
[2]) Dr. A. Szelągowski: Wzrost państwa polskiego etc.

szych miastach obok wójtów powoływano magistraty. Był to już urząd miejski wybieralny, składający się z kilku lub kilkunastu rajców i burmistrzów, którzy stali na czele Rady miejskiej.

Urząd kata przyszedł do nas z Niemiec. Nawet strój kata był na modłę niemiecką skrojony, przeważnie też piastowali tę godność przybysze z miast niemieckich. Obok tego jednak istniała też szkoła krajowa, przygotowująca katów, w podgórskiej miejscowości Bieczu, gdzie ogromna ilość opryszków - górali szerokie dla praktykantów dawała pole popisu. Po latach nauki i dokonaniu majstersztyku, młody kat zostawał wyzwolony, otrzymywał miejsce w którem z miast, lub praktykował przy starzejącym się ojcu, wyręczając go w trudniejszych wypadkach, zanim po jego śmierci nie odziedziczył stanowiska. Podobnie jak w Niemczech miał kat do pomocy hyclów. Prócz tego znani jeszcze byli w miastach polskich ceklarze z cekmistrzem, coś niby rodzaj niższej policji, którzy pod dozorem kata spełniali niektóre funkcje katowskie, stawiali szubienice, smagali złoczyńców, podejmowali trupów zmarłych na ulicy, krążyli nocami po mieście.

Ponieważ prawo było niemieckie, więc i ten sam wymiar kary. Przyjęte były te same rodzaje śmierci. Oczywiście istniała też tortura, może nie w tym stopniu wyrafinowana jak w Niemczech, w każdym bądź razie dość okrutna, by dzisiejszemu czytelnikowi powstały włosy na głowie. Co prawda, chluba adwokatury krakowskiej, Jan Cerazyn z przydomkiem Kirsztein, w pracy swej „O prawie i fołdrowaniu“ już na początku XVI wieku śmiało występuje przeciwko torturze, takie głosy pojedyńczych ideologów przebrzmiały jednak bez głębszego wrażenia, tortura istniała w dalszym ciągu, uświęcona prawem, tradycją i zwyczajem, dopiero potężny ruch kulturalny i humanitarny z końca XVIII wieku znosi tortury w Polsce w r. 1776.

Opisów, rycin i innych materjałów świadczących o wymiarze sprawiedliwości w dawnej Polsce posiadamy stosunkowo niedużo, w porównaniu np. z Niemcami. Czy w życiu Polski okropności te mniej miejsca zajmowały niż w Niem-

czech, czy też zaginęły te świadectwa dzięki niedbalstwu naszemu, podobnie jak tyle innych, nieocenionych przyczynków do poznania bytu miast naszych w wiekach ubiegłych?—Zapewne jedno i drugie.

Jedyny w swoim rodzaju zbiór narzędzi tortur przechowuje się w domu Matejki w Krakawie[1]. Jest to unikat w Polsce, który od zagłady ratował Matejko. Gdy w roku 1873 podczas restauracji Sukiennic otworzono podziemne lochy łączące byłą radnicę przy wieży ratuszowej z Sukiennicami, jeden z murarzy, znalazłszy stare żelaziwo, wyniósł je na „tandetę“ i sprzedał na stop. Matejko dowiedziawszy się o tem przypadkowo cały zbiór wykupił. W zbiorze tym widzimy latarki więzienne z nacinanej blachy, kajdany, kuny t. j. obręcze pręgierzowe, obręcze do ściskania lub miażdżenia głowy, do ściskania stawów w ramieniu i kolanie, kolczaty but hiszpański do ściskania piszczela, tasak półokrągły, obcęgi do szarpania ciała i wreszcie topór. Jak widzimy ocalały te rzeczy przypadkowo—ileż więc musiało poginąć w innych miastach?

Najobfitszym stosunkowo materjałem do poznania prawa karnego i jego stosowania w dawnej Polsce są stare akta sądowe. Swieżo ciekawe urywki z aktów krakowskich ogłosił niestrudzony na tem polu badacz p. Marjan Wawrzeniecki[2].

Widzimy stąd, że stosowane były w Krakowie w XVI wieku następujące kary: Wplatano w koło, palono żywcem, topiono w Wiśle, obcinano uszy, chłostano, ćwiartowano, bito u pręgierza, ścinano mieczem, urywano uszy, wyświecano z miasta, wsadzano na pal, kleszczami targano, rozciągano na mękach i świecami przypalano, obwożono około rynku, potem kleszczami targano i w końcu ćwiartowano. Żywcem zakopywano i potem kołem przebito.

Tę garść uwag pobieżnych i luźnych faktów, niewyczerpujących w drobnej nawet części obszernego tematu, uważałem za stosowne umieścić na wstępie pracy niniejszej,

---

[1]) Por. „Muzeum Narodowe w Krakowie: przewodnik dla zwiedzających dom Matejki“.

[2]) Tygodnik „Ziemia“ 1912 r. № 47.

w celu zaznajomienia czytelników w najogólniejszych zarysach ze stosunkami prawnemi i sądownictwem karnem na zachodzie, zanim przystąpię do właściwego zadania: oświetlenia stanowiska i działalności mistrza czyli kata miasta Wilna w XVII i XVIII w. na podstawie nieogłoszonych dotychczas źródeł archiwalnych.

Ten sam stosunek jaki łączył Kraków z miastami niemieckiemi, istnieje między Wilnem a Krakowem. O ile Kraków, zamieszkały początkowo przeważnie przez kolonistów niemieckich, żywcem wziął prawa swe i ustrój cały z Niemiec, o tyle Wilno, spolonizowane skutkiem ogromnego napływu polskich rzemieślników, kupców, nie mówiąc już o szlachcie i duchowieństwie, wzorowało się ściśle na porządkach krakowskich.

Już w pierwszym roku po zjednoczeniu Litwy z Polską nadaje Władysław Jagiełło w Mereczu dn. 22 marca 1387 r. miastu Wilnu samorząd t. zw. „prawo magdeburskie“ czyli „majdeburgję“, zaś w r. 1432 wielki książę litewski potwierdzając powyższy przywilej zaznacza najwyraźniej, że prawo to „wo wsich swoich uradiech, członkach, rozdiełach, rozumiech dierżati ich potomuż kak miasto Krakowskoje“. Przywileje monarsze ponawiane przy każdem wstąpieniu na tron przez królów polskich i wielkich książąt litewskich nadawały miastu prawo samorządu i własnego sądu, wykonywanego przez urzędników obieralnych i uwalniały obywateli miejskich od sądownictwa wojewodów, sędziów i innych urzędników państwowych. Władze sądowe, tak cywilne jak i kryminalne, spoczywały w ręku obieralnego wójta i ławników [1]).

Co się tyczy sądownictwa karnego, w zasadzie było ono takie samo jak w Krakowie, w praktyce atoli mogły zachodzić pewne różnice. O ile bowiem Kraków był jakby kopją nieco bledszą stosunków zachodnich, o tyle Wilno z kolei było kopją Krakowa, i niedorównywały swym pierwowzorom. O ile sądzić możemy z nader szczupłych materjałów, kara śmierci stosowana była przeważnie za pomocą stryczka lub miecza, bez różnych wymyślnych obostrzeń, gdyż nawet dzie-

---

[1]) W. Gizbert: „Wilno“ str. 17—21.

ciobójczynie i świętokradców ścinano tylko, natomiast zawodowych rozbójników, którzy widocznie dawali się we znaki społeczeństwu, ćwiartowano. Złodziejów przeważnie tylko smagano u dyby, chociaż nie brak wypadków, że ich ścinano lub wieszano. Tortura oczywiście istniała w całej pełni i przyrządy do torturowania, lecz przeważnie miejscowego, surowego wyrobu ciesielskiego i kowalskiego. O tak wymyślnych machinach jak osławiona „panna żelazna“ („die eiserne Jungfrau“) naśladująca kształty ludzkie, wewnątrz ostrzami najeżona, jakoś nie słyszymy. Natomiast przypalanie świecą dość często się praktykowało. Słowem nie była to bynajmniej idylla, wszystko działo się zgodnie ze zwyczajami i pojęciami panującemi ogólnie w owej epoce, lecz chyba bez tego wyrafinowania i chorobliwego lubowania się w wymyślaniu mąk, jakie widzimy na zachodzie.

Miejscem egzekucji był rynek przed ratuszem, tu znajdował się także pręgierz, tutaj stracono też głośnego kniazia Myszeckiego, który w czasie okupacji miasta przez wojska moskiewskie w XVII wieku był wojewodą na zamku wileńskim. Szubienica natomiast znajdowała się za miastem na wzgórzu.

Gdzie mianowicie znajdowała się góra szubieniczna, określić trudno, tradycja się o tem nie zachowała, być może, że się miejsce zmieniało w miarę rozszerzania się miasta. Pewną atoli wskazówkę udało się odnaleźć dzięki uprzejmości niestrudzonego archiwarjusza naszego p. Studnickiego, który mimo krótkiego stosunkowo urzędowania swego, zdążył poznać i przeniknąć szczegółowo te skarby powierzone doświadczonej pieczy jego. Jakoż w „Księdze kronikalnej wszystkich posesjów miasta Wilna“ tom 9 № 1810 znajdujemy na kartach 176—177 opisanie posesji niejakiego Krupowicza. Początek brzmi dosłownie: „Akt z roku 1807 augusta 22 dnia Magistrat z Izbą kupiecką i gminną na zgromadzeniu sesjonalnym konsensem ziemię pustą na przedmieściu Rudnikiem *za górami Szubieniczne* inaczej Franciszkańskie zwanemi Imci p. Franciszkowi i Gertrudzie z Janiszewskich Krupowiczom pisarzom ekonomicznym miasta gubernskiego Wilna oddał“. Dalej zaś oznaczono jeszcze, że posesja Krupo-

wiczów bez numeru, przytyka atoli do posesji № 1244. To pozwala nam mniej więcej orjentować się. Jakoż № 1244 znajduje się rzeczywiście na przedmieściu Rudnickiem, za kościołem Św. Stefańskim, tam mniej więcej, gdzie ulica Św. Stefańska wpiera w tor kolejowy. Tam też, w okolicy kościoła Św. Stefańskiego musiała znajdować się góra Szubieniczna. Miejscowość tam na ogół wysoka, przeważnie piaszczysta. Być może znajdował się w tej okolicy pagórek, zniesiony bądź to przez tor kolejowy lub też przy budowie domów. W każdym bądź razie na początku wieku XIX, z którego to czasu pochodzi akt powyższy, w owej miejscowości już nie wieszano, zdaje się to dość wyraźnie wynikać z określenia, że góry tylko „nazwane“ są „Szubieniczne inaczej Franciszkańskie“.

Posiadało miasto swego stałego mistrza, czyli kata, hyclów, cekmistrza i 2 ceklarzów. Kat otrzymywał pensję stałą, prócz tego dodatki od każdej egzekucji dość znaczne. Samo ustanowienie stałej pensji, którą podwyższano kilkakrotnie i to w przeciągu dość krótkiego czasu, zdaje się świadczyć, że kat wileński nie miał zbyt obfitej praktyki, gdzieindziej bowiem, kaci, otrzymując jedynie wynagrodzenie „od sztuki“ nietylko dostatnio żyli, lecz zbierali nawet dość znaczne majątki. Oprócz pensji i dodatków za każdą egzekucję kat wileński otrzymywał narówni ze wszystkimi urzędnikami nagrody świąteczne, czyli tak zw. „włóczebne“ i „kolendę“. Dalej dodatki „na barwę“ t. j. na strój oznaczonego kroju, koloru przeważnie czerwonego. Osobno płacono za ustawienie pręgierza, szubienicy, na kupno kajdanów, przyrządów torturowych, na chleb (prawdopodobnie dla więźniów), na utrzymanie i czyszczenie więzień, na grzebanie przestępców po dokonanej egzekucji, grzebanie zmarłych w więzieniu, lub też trupów, podniesionych na ulicach—wszystko to szło przez ręce mistrza.

Mieszkanie swe miał kat nad potężną i piękną bramą Subocz [1]), którą plany miasta z w. XVII także bramą So-

---

[1]) Dr. W. Zahorski „Stare Wilno w rysunkach Fr. Smuglewicza“ w „Litwie i Rusi“. Tom I zesz. II, luty 1912 r.

baczą nazywają. Czy nazwa ta pochodzi od procederu łapania psów bezdomnych, uprawianego przez podkacików czyli hyclów, czy pierwotnie brama nazywała się Sobaczą czy też właściwa jej nazwa była Subocz i tylko żartobliwie przezwana Sobaczą — zdecydować trudno. Zauważać tylko należy, że istnieje dotychczas miasto Subocz w wojew. wileńskiem, pow. Wiłkomirskim i że często bramy miejskie nazywały się od miejscowości, którędy przez nie drogi wiodły jak np. brama Miednicka (obecnie Ostra), brama Trocka, Rudnicka i t. p.

Brama Subocz stała przy zbiegu ul. Subocz i Bakszty, została zburzona w czasie gdy znoszono fortyfikacje Wilna t. j. w końcu XVIII w. Pozostały jedynie fundamenta, na których dziś wznosi się bardzo niepozorna kamieniczka. W starych piwnicach o potężnym murze, „gdzie mistrz miał złodziejów na torturach“ dziś mieści się podrzędna piwiarnia.

W muzeum wileńskiem przechowuje się miecz katowski, pochodzący z dawnego ratusza.

Miecze katowskie wielką rzadkością są, nawet w muzeach zagranicznych obfitujących w okazy narzędzi tortur i t. p. Przyczyną tego był przesąd rozpowszechniony w wiekach dawnych śród katów, jakoby miecz, po ucięciu tysiącznej głowy, do tego stopnia krwią się przesyci, że z posłusznego narzędzia staje się istotą żyjącą, niezmiernie złośliwą, i przy następnej egzekucji zamiast delikwenta, ugodzić może samego mistrza. Dlatego to kaci, po ucięciu tysiącznej głowy zwykli byli zakopywać swój miecz głęboko w ziemi, w miejscach niewiadomych i niedostępnych.

Co się tyczy miecza wileńskiego, jest on rozmiarów dużych, rękojeść drewniana, okuta miedzią. Po jednej stronie wyobrażona bogini sprawiedliwości z następującym napisem niemieckim:

Venn ich das Schwert dann thu Aufheben
So wunsch ich dem Sünder das ewige Leben

Po drugiej stronie czytamy:

Venn dem Sünder wird abgesprochen das Leben
So wird er mir unter mein Hände gegeben.

Miecz ten pochodzenia jak widać niemieckiego, prawdo-

podobnie przez któregoś z niemców - katów przywieziony został do Wilna.

Najciekawszym jednak i stosunkowo najobfitszym materjałem do dziejów kata są rachunki magistrackie, przechowywane w tutejszem archiwum miejskiem. Pierwszy taki regestr, który do naszych przechowywał się czasów, pochodzi z r. 1657, nosi na pierwszej stronie tytuł starannie wypisany:

„Regestr Prowentowy Numero 1-mo“.

Dalej zaś: *„Roku od Narodzenia Syna Bożego 1657. Przychodu i Rozchodu komorczanego Reiestr“.*

Pierwszy ten rejestr jest bardzo pobieżny i krótki, podobnie jak i kilka następnych. Dość powiedzieć, że jeden cienki zeszyt obejmuje wydatki i przychód z trzech lat od 1657 do 59 r. Nie należy zapominać, że mamy do czynienia z najcięższą w dziejach Wilna epoką, gdy po zdobyciu miasta przez wojska cara Aleksieja Michajłowicza, spaleniu i wymordowaniu mieszkańców, gospodarka miejska znajdować się musiała w zupełnym upadku. Dopiero w następnych latach rachunkowość znacznie się rozszerza, przybywają nowe rubryki, rejestr staje się bardziej szczegółowy i daje dość dokładne pojęcie o gospodarce miejskiej.

Wydatki na kata stanowią osobną rubrykę, prócz tego jednak wypadało przeglądać cały rozchód, gdzie znajdywaliśmy rozrzucone pozycje „na barwę dla kata“, na „naprawę więzień“ oraz inne wydatki ściśle z rzemiosłem katowskim związane.

Wypisuję tedy dosłownie wszystkie te pozycje, dotyczące kata i jego procederu, przeważnie one same się tłumaczą, niezbędne zaś uwagi i objaśnienia zamieszczę w miarę jak się nastręczać będą.

Zaznaczyć jeszcze wypada, że w r. 1657 mistrzem czyli katem miasta Wilna był niejakiś Andrzej Wróblewski, którego rejestr zwykle Andrzejem nazywa. W tym samym czasie był też cekmistrz tegoż imienia Andrzej, nieznanego nazwiska, którego w żadnym razie nie należy identyfikować z Mistrzem Andrzejem.

Pod rokiem *1657* znajdujemy więc następujące dość krótkie dane:

„Mistrzowi Andrzeju od ścięcia zabójcy, który pana swego zabił dano kop. 1“

Poza tą lakoniczną wzmianką nie napotykamy więcej w tym roczniku nazwy kata. Dowodzi to, jak pobieżnie początkowo prowadzony był ten regestr. Z późniejszych bowiem dowiemy się, że kat otrzymywał stałą pensję, o czem tu ani wzmianki. Oczywiście było też w ciągu tego roku więcej egzekucji niż ta jedna wspomniana. O ilości przestępstw i wyroków z tych regestrów wnosić nie należy, inne rubryki też wykazują, jak pobieżna była rachunkowość.

Rok *1658.*

„Andrzeju mistrzu za cztyry niedziele dano na niedzielę po kop. 1=kop. 4“.

Widzimy więc, że kat wileński otrzymał oprócz przeróżnych dodatków stałej pensji kopę groszy tygodniowo. W późniejszych latach wzrasta pensja stopniowo. Że podany wydatek tylko za cztery tygodni, wina to niedokładności regestru, z dalszych widzimy, że mistrz pobierał pensję rok okrągły.

Dalej w tym roku czytamy:

„Temuż od Prawczego dano 36 gr.

Od okowania Szweda (?) kowalu gr. 4'' 8.

Za kłodę do pent gr. 10.

Od założenia i zasypania z ulicy piaskiem ratusznego piłata gr. 4.

(Nazwa „Piłat“ oznaczała to samo co „pręgierz“).

Za dziewięć klamrów żelaznych 16 gr.

O ile ten regiestr jest już nieco szczegółowszy w następnym *1659* r. żadnych danych dotyczących kata nieznajdujemy.

Dopiero w r. *1660:*

„Andrzeju mistrzu dano za niedziel 20 na każdą po gr. 36 czyni kop. 12.

Temuż od męczenia Białej głowy z zamku od Moskwy wyprawionej kop. 1.

Na świecę do palenia tejże gr. 6“.

---

[1]) Skrócenie „kop.“ oznacza oczywiście kopę groszy czyli 2 złote. W późniejszych czasach liczono na złote.

Należy pamiętać, że w tym czasie Wilno i zamek wileński był w ręku zwycięskich wojsk cara Aleksieja Michajłowicza. Moskwa siedziała w zamku, śledząc nieufnie za ludnością miejską, której nastrój w najwyższym stopniu był wrogi dla zdobywców. Jaka była wina owej „Białej głowy“ i jaki stosunek jej z Moskwą, z krótkiej notatki odgadnąć nie sposób. Być może wysłana z Zamku do miasta na przeszpiegi, przez rozgoryczoną ludność uwięziona i okrutnie męczona była?

W r. *1661* rubryka katowska bardzo krótko opiewa:

„Mistrzu Andrzeju tygodniowego na każdy tydzień po gr. 36 dano za niedziel 22=kop. 13 gr. 12“.

Natomiast w tym samym roczniku, w rejestrze wydatków ogólnych pod datą 10 grudnia znajdujemy notatkę, mającą pierwszorzędną wagę historyczną:

„Jako tracono Daniła Myszeckiego, stolnika Cara Moskiewskiego a pod ten czas w zamku wojewodą nazwanego Tyrana, od sprzątnienia miejsca w rynku przed ratuszem wydano chłopom y na słome gr. 14“ 4“.

Jak wiadomo zamek wileński po zaciętym oporze Moskwy poddał się wojskom polskim, komendant jego kniaź Myszecki przez własnych żołnierzy związany i wydany w ręce zwycięzców, za liczne zbrodnie i okrucieństwa, których się był dopuścił nad ludnością miejscową, sądzony, na śmierć skazany i stracony na rynku. Było to dn. 30 listopada starego stylu, coby właśnie odpowiadało w XVII wieku dziesiątemu grudniowi, jak też zupełnie ściśle zaznaczono w rejestrze. Charakterystycznem jest, że rachunki miejskie wykazują tylko wydatek na „sprzątnienie miejsca w rynku“, o samej egzekucji ani słowa, gdy wiemy z uprzednich jako też późniejszych regiestrów, że mistrz otrzymywał prócz stałej pensji osobne datki za każdy wypadek. Czyżby więc to świadczyć miało, że egzekucji dokonał ktoś inny? Istnieje podanie, powtórzone jako pewnik przez niektórych historyków rosyjskich, jakoby własny kuchta Myszeckiego, niejakiś Antoszka ofiarował się uciąć mu głowę, co mu też pozwolono. Wersja ta wydaje nam się w najwyższym stopniu nieprawdopodobną. Stracenie Myszeckiego nie miało bynajmniej charakteru dzikiej, prywatnej zemsty. Był on sądzony najzupełniej oficjalnie, nie za zaciętą obronę zamku, lecz za szereg zbrodni przeciwnych prawom międzynarodowym, wojennym, których się dopuścił

nad ludnością miejscową czasu okupacji kraju przez wojska moskiewskie. Z liczby wielu faktów wystarcza przytoczyć jeden: ile razy Myszecki usłyszał o zbliżeniu się wojsk polskich, zamiast mężnie stawić im czoło, zapowiadał wodzowi polskiemu, że wyrznąć każe tysiące bezbronnej ludności miejskiej, którą to pogróżkę niejednokrotnie w czyn wprowadzał, zmuszając tem wojsko polskie do odstąpienia. Na zasadzie takich i wielu podobnych czynów był prawnie sądzony, wyrok zaś mógł być tylko prawnie wykonany, t. j. publicznie, w obecności władz, ręką wykwalifikowanego kata, należącego do cechu, nie zaś jakiegoś „amatora" który mógł się okazać niezdarą. Wobec tego pierwszeństwo należało się nikomu innemu jeno mistrzu miasta Wilna, t. j. Andrzejowi Wróblewskiemu. Okoliczność, że wydatek na ścięcie Myszeckiego nie figuruje w rachunkach miejskich z katem, tłumaczy się bardzo naturalnie tem, że Myszecki stracony został nie z wyroku sądu miejskiego, a więc miasto zato nie było obowiązane ponosić kosztów, zapłaciła Wróblewskiemu ta wyższa władza, która wydała wyrok na Myszeckiego. Ten zaś wydatek nie mógł oczywiście figurować w rachunkach miejskich. Obowiązkiem miasta było tylko „sprzątnienie miejsca" egzekucji.

Dodać jeszcze wypada, że w rachunkach czytamy nie „wojewoda" lecz „wojewódka", widocznem jednak jest, że pierwotnie było napisane „wojewoda", które to słowo później dopiero nieco odmiennym charakterem i ciemniejszym atramentem, jednak dość zręcznie, przerobione zostało na pogardliwe „wojewódka". Kto się dopuścił tego fałszerstwa—niewiadomo, o ile jednak sądzić można, musiało to być dość dawno.

Rok *1662.*

„Andrzeju Mistrzu dano za trzy niedziele za każdą pa gr. 36=kop. 1 gr. 48".

W tym samym roku, lecz na innem miejscu znajdujemy drugą rubrykę katowską, która najwidoczniej stanowi dalszy ciąg poprzedniej:

„Rozchód na Mistrza".

Andrzeju Wróblewskiemu tygodniowego na każdy tydzień po gr. 36 dano za niedziel czterdzieści dwie czyni kop. 25 gr. 12.

Temuż kolendy i włóczebnego kop. 2.

W innych rubrykach rozrzucone spotykamy w tym roczniku następ. jeszcze wiadomości dotyczące kata i jego rzemiosła:

Na barwę: dwadzieścia łokci na Mistrza i Pieczury, łokieć po kop. 1=kop. 12.

Dalej zaś *„na krawca y potrzeby“* dla różnych funkcjonarjuszów magistrackich, wspomniano też:

„Pieczurze y Mistrza kop. 1 gr. 12“.

Odtąd spotykamy też osobną rubrykę wydatków na „Cechmistrza“ oraz „Ceklarzy“, których było zda się dwuch, byli oni w pewnej mierze pomocnikami kata. Cechmistrz nazywał się w tym czasie również Andrzej, imię jego nieznane. Nienależy go jednak mieszać z Mistrzem Andrzejem. Dodać jeszcze wypada, że Cechmistrz w niektórych, dalszych zwłaszcza latach, pełnił jeszcze drugą funkcję „pieczury“, dlatego rachunki „Pieczury“ i „Cechmistrza“ bywają czasem połączone, zwykle tuż obok rachunku mistrza, czasem zaś osobne. W tym roczniku czytamy:

„Cechmistrzowi Andrzeju według umowy na każdy tydzień po gr. 24 za tygodni 43 dano kop. 47 gr. 12.

Temuż kupiono barbarę (?) za gr. 24.

Kontentacyi rożnemi czasy kop. 1 gr. 25“.

Rok *1663.*

„Rozchód na Mistrza alias Kata:

Andrzeiowi Wróblewskiemu Mistrzowi

Kolendy y Włóczebnego kop. 2.

Temuż tygodniowego na każdą niedzielę gr. 36 za niedziel 22 czyni kop. 13 gr. 12.

A za supliką do Ich Mci podaną, gdzie rozkazali dawać Ich Mci na każdy tydzień po kop. 1, jakoż dano za niedziel 30 po kop. 1=kop. 30“.

Widzimy, że pensja razem z dodatkami niewystarczała mistrzowi, zwraca się więc do Magistratu z prośbą o podwyżkę, co też Magistrat uwzględnił, poleciwszy wypłacać za pozostałe 30 tygodni tego roku po kopie groszy, zamiast dotychczasowych 36 gr.

Dalej czytamy na tem samem miejscu:

„Za pęta nowe więźniom gr. 36.

Chłopom czterem od wyjęcia z ziemi i złożenia w obrębie haku gr. 4".

W rubryce „*na barwy*" tegoż roku czytamy:

„*Kiru czerwonego łokci 12 dla Mistrza=kop. 2 gr. 24.*

Mistrzu y Pieczury na potrzeby kop. 1".

Z r. *1664* i *65* nie mamy regestrów— widocznie zaginęły.

Rok *1666.*

„*Rozchód na Andrzeia Wróblewskiego Mistrza*

Włóczebnego według zwyczaju dano złł. 2 gr. 15.

Tygodniowego temuż za niedziel 49 po złł. 2 gr. 15 czyni złł. 122 gr. 15.

Dnia 15 februaryi na beczkę żyta dano złł. 5 gr. 15.

Dnia 2 octobra na drugą beczkę żyta złł. 5 gr. 15.

Od pochowania dwóch ubogich znalezionych na ulicy gr. 15.

Na pogrzeb ceklarza zmarłego złł. 2.

Za kłodę do turmy złł. 1.

Za zawiasy do drzwi mistrza złł. 1.

Mularzu od zamurowania dziur w turmie złł. 1".

Po raz pierwszy spotykamy wydatek na kupno żyta. Prawdopodobnie na utrzymanie więźniów. Ponieważ w ciągu roku rozchodowano tylko dwie beczki, możnaby wnosić, że tych więźniów było niezbyt dużo. Bo że tylko dwie beczki, nie więcej, wynika dowodnie, gdyż pod datą 2 oktobra czytamy wyraźnie: „dano na *drugą* beczkę". Pamiętać jednak należy, że w owych czasach utrzymanie więźniów ze wszech miar było nędzne, który z nich miał jakichś krewnych, lub środki, otrzymywał pożywienie z miasta, tylko najuboższym dawano... akurat tyle, aby nie zamarli z głodu. Czasem i to się zdarzało. W każdym bądź razie jednak przypuszczać można, że przepełnienia nie było w wileńskich więzieniach, a i stan tych więzień był niezbyt zamczysty, mimo bowiem ustawicznego kupna „kłodek" oraz też „pęt" czyli kajdanów, czytamy o „dziurach w turmie", które przyszło się zamurowywać. Podobne wiadomości powtarzają się dość często w przyszłych rocznikach, i nawet dowiadujemy się, że więźniowie uciekali przez owe „dziury", lub też sami „wyłamywali mur", na ogół więc musiały być stosunki pod tym względem dość prymitywne, traktowano tę stronę bezpieczeństwa publicznego dość lekko, jakoż i rzadko zdarzał się poważniejszy przestępca, kil-

ka zaledwo morderców napotykamy w ciągu tych lat urzędowania mistrza Wróblewskiego, przeważają zwykli „złodzieje“, których wysmagawszy porządnie u pręgierza puszczano na swobodę, nie obciążając kasy miejskiej wydatkiem na utrzymanie darmojadów.

W tym samym roczniku, w rubryce „Na barwę“ znajdujemy jeszcze:

„*Mistrzu czerwonego sukna łokci 16, kiru zielonego, kutnorowanego 7*“ oraz „*Na krawca złł. 3*“.

Rok *1667.*

„*Rozchód na AndrzeiaWróblewskiego Mistrza alias Kata.*

Kolędy y Włóczebnego dano po złł. 2 gr. 15=złł. 5.

Tygodniowego za każdy rok na każdą niedzielę po złł. 2 gr. 15, było niedziel 54 począwszy od dnia 24 decembra roku 1666 = złł. 135.

Na beczkę żyta dano złł. 5.

Na okienicę nową dano jemu gr. 15.

Od ściencia zaboycy, który nożem Szlachcica zarznoł, dano złł. 2 gr. 15.

Od wychandożenia miecza miecznikowi gr. 15.

Od smagania dwóch złodziejów, którzy się dobywali do komory prowentowej dano złł. 2 gr. 15.

Od obieszenia złodzieia Draguna złł. 2 gr. 15.

Za Siekierę Mistrzu daney gr. 27.

Pięciom chłopom co mościli Pręgierz deszczkami dano gr. 15.

Od zawiezionych Czwierci w pale Rozboynika dano złł. 2 gr. 10.

Dziwnem tu się wydaje, że za samo ćwiartowanie nie oznaczona zapłata, tylko za „wywiezienie ćwierci w pole“, zwyczajem bowiem było, że po egzekucyi ćwiartowania, nie grzebano ciała, jak np. straconych mieczem, lecz rozrzucano członki po polu. Zapłata za wywiezienie (złł. 2 gr. 10) stosunkowo dość wysoka, równa się bez mała zapłacie, jaką pobierał mistrz za każdą egzekucję, t. j. złł. 2 gr. 15. Być może, że policzono w tem i należność za ćwiartowanie, tembardziej, że tej roboty dokonywał hycel, nie zaś kat.

W ciągu całego wiadomego nam 15-letniego urzędowania Wróblewskiego jest to zresztą jedyny fakt ćwiartowania.

Dalej czytamy:

„Za dwoie pent po złł. 1 gr. 15=złł. 3.

Za zrobienie dwóch pent kowalu=złł. 1.

Za półsztaby na penta złł. 4.

Za zrobienie Justicy na górze za miastem cieślom na drzewo dano złł. 8.

Item dwom cieślom złł. 1 gr. 10.

Chłopom pomocnikom dano złł. 3 gr. 5.

Słowo „Justica“ oznaczało szubinicę, stała ona „na górze za miastem“—gdzie mianowicie, staraliśmy się poprzednio wyjaśnić. Była to szubienica niewątpliwie stała, nie zaś za każdym razem wystawiana; raz bowiem tylko w tych latach spotykamy się z takim wydatkiem, a wydatek dość znaczny, bo ogółem wynosi za materjał i ustawienie zł. 12 gr. 15. To samo już dowodzi, że szubienica musiała być trwała, nie do jednorazowego użytku, gdyż taki wydatek za każdym razem niezmiernie oszczędny i skrupulatny magistrat uważałby niewątpliwie za zbyt uciążliwy. Atoli szubienica była drewniana, ciesielskiej roboty—w innych miastach, gdzie częstsze były egzekucje, zwłaszcza w Niemczech, służyły na ten cel fundamentalne słupy murowane, najmniej dwa, często jednak trzy, cztery i więcej, połączone u góry drewnianą poprzeczką.

W tym samym roczniku znajdujemy:

„Rozchód na Cechmistrza.

Adama Nowickiego nowo przyiętego dn. 29 dec. 1666 r. któremu dano na kwartał złł. 8.

Gdy ten niechciał służyć nastąpił drugi Stefan Rodziewicz złł. 44.

Któremu podano pent pięcioro, temuż kłódkę z dwiema kluczami do turmy złł. 4.

Zapłata Ceklarzom dwom tygodniowego na dwóch złł. 87 gr. 10.

Na pogrzeb Ceklarza który spadł ze wschodu złł. 3.

Kowalu za zrobienie blachi i zaszczepki do turmy złł. 1.

W innem znowu miejscu *„na barwę“:*

Mistrzu Wróblewskiemu sukna na kuntusz czerwonego łok. 6 po złł. 3 gr. 22=złł. 22 gr. 15.

Prócz tego jak zwykle „na barwę“ dla Cechmistrza i ceklarzy.

Rok *1668.*

„Rozchód na Andrzeia Wróblewskiego Mistrza alias Kata:

Temuż kolendy y włóczebnego po zł. 2 gr. 15=zł. 5.

Temuż tygodniowego na niedziel 54 po zł. 2 gr. 15 czyni zł. 135.

Kolendy drugiej też panowie szafarze w Roku 1669 dali zł. 2 gr. 15.

Na beczkę żyta dano zł. 5.

Dnia 29 february od smagania złodzieia dano zł. 1 gr. 15.

Dnia 21 apryla od smagania Białej głowy co uwolniła z placu Święto kratcę dano zł. 1 gr. 15.

Dnia 18 maia od smagania u pręgierza złodzieia dano zł. 1 gr. 15.

Dnia 15 septembra od smagania złodzieia co był pokrad u Świętego Michała u panien w Klasztorze zł. 1 gr. 15.

Dnia 24 oktobra od smagania złodzieia co był uciek z turmy=zł. 1 gr. 15.

Chłopu od uprzątnienia turmy gr. 12.

Za zrobienie wschodu do piwnicy gdzie Mistrz ma złodzieiów na torturach za belkę jedną gr. 15.

Cieśli za robotę i pomocniku gr. 15.

Na poprawienie instrumentu dano zł. 1 gr. 15“.

Dalej mamy:

„Rozchod na Pieczurę, który oraz jest Cechmistrzem:

Stephanu Rodziewiczu dano tygodniowego za niedziel piendziesiąt trzy, na każdą po zł. 1 co czyni zł. 53.

Temuż do turmy kupiono trzy kłodki dwie rydlowe y dano mu po zł. 2 gr. 15=zł. 7 gr. 15.

Czwartą kłodkę którą poprawiono za gr. 12.

Za Ceber do turmy gr. 20.

Suma czyni zł. 61 gr. 17“.

Tuż obok rachunku Cechmistrza mamy:

„Rozchod na Cechlarow.

Latowickiemu i Mumie tym dwom tygodniowego dano za niedziel 20 po zł. 1 gr. 20=zł. 33. gr. 10.

Jakoż Latowicki odstał, a drugiemu Mumie jeszcze za niedziel 33 po gr. 25=zł. 27 gr. 15.

Gdy odprawiony był Latowicki, przez kilka razy dano mu iałmużny=zł. 1 gr. 10.

Kiedy uciek złodziey wykopawszy się z turmy do której kupiono wapna skrzynię do zamurowania oney dziury=zł. 1.

Żwiru skrzyń dwie gr. 10.

Suma czyni złł. 63 gr. 15".

Osóbno figuruje jeszcze następująca pozycja związana najwidoczniej z ową katastrofą ucieczki więźnia:

„*Mularzu od zamurowania tey dziury gr. 12*".

Jak zwykle tak i w tym roku otrzymują „*barwy*".

„*Mistrzu sukna czerwonego łok. 6 po złł. 3 gr. 15=złł. 21.*

Mistrzu żółtego putkarusia łok. 6 po złł. 1=złł. 6.

Ceklarzom dwom czerwonego szynuku łok. 10 po złł. 2 gr. 15=złł. 25.

Łazurowego Pieczury łok. 5 po złł. 3 gr. 10=złł. 16 gr. 20.

Kiru żółtego dziesiętniku pod żupan łok. 3, pieczury łok. 5, ceklarzom łok. 6 po gr. 20=złł. 9 gr. 10.

(Na potrzeby y Krawca).

Pieczury złł. 1 gr. 15, Ceklarzom dwom = złł. 4 gr. 15 Mistrzu złł. 3.

Rok *1669.*

Regiestr z tego roku istnieje, niestety wydarta karta z rachunkiem Mistrza oraz Ceklarzów. Tylko w rubryce „barw" znaleźliśmy jak zwykle następujące dane:

„*Mistrzu na podszewkę dely łok. sześć żółtego po złł. 1 gr. 22=złł. 6 gr. 15.*

Mistrzu na krawca y potrzeby złł. 3.

Co zaś Pan Ubryk dokupował sukna czerwonego łok. dziesięć dla dwóch ceklarzów na żupany po złł. 3 gr. 20=złł. 36 gr. 20.

Tymże kiru żółtego łok. 6=złł. 4 gr. 15.

Dwom Ceklarzom na krawca y potrzeby po złł. 1 gr. 15=złł. 3.

Pieczury kiru łok. 5=złł. 3 gr. 22" 4.

Pieczury na krawca y potrzeby złł. 1 gr. 15.

Rok *1670.*

„*Rozchód na Andrzeia Wróblewskiego Mistrza alias Kata:*

Kolendy y włóczebnego złł. 5.

Tygodniowego w tym roku dano za niedziel 50 za każdy tydzień po złł. gr. 15 uczyni złł. 125.

Na beczkę żyta dano złł. 5.

Temuż na wychandożenie miecza gr. 15.

Od smagania złodzieia u dyby złł. 1 gr. 15.

Od uwiązania do dyby złodzieia, który się w turmie będąc nożem przebił dano złł. 1.

Gdy umarła Cybulska baba w turmie co szynki naprawowała (?) dano płótna na koszulę za złł. 3.

Od obieszenia Werebeyczyka złodzieia dano złł. 2 gr. 15.

Od obieszenia złodzieia Pawluka dano złł. 2 gr. 15.

Od wychandożenia trzech turm plugastwa furmanom za wozów 30 od jednego po gr. 15 dano=złł. 15.

Za szaflik jeden gr. 7" 4.

Mistrzu y chłopom, którzy konia zdechłego, obłupionego z ulicy niemieckiey za miasto wywiezli dano gr. 18.

Mistrzu od spuszczenia złodzieia z szubienicy y zakopanie w dół onegoż dano złł. 1 gr. 15.

Chłopowi jednemu y dwom cieślom co robili instrument do torturow dano złł. 1 gr. 7.

Do tegoż żelaza funtow 14 kowalu za robotę dano złł. 1.

Za gdańskie gozdzie do tegosz gr. 16.

Od sciencia złodzieia, który kościoł Św. Michała okradł dano złł. 2 gr. 15.

Od sciencia Białej Głowy, która dziecie swoie od półrocza chowane zabiła dano złł. 3.

Za cztyry penta nowe Kieydaniszku dano złł. 6 gr. 20.
(Tak się nazywał kowal).

Za penta item żelazne dano.

Za kłodkę do bramy Suboczey gdzie Mistrz mieszka dano złł. 3.

Rachunek ceklarzow wynosi:

„Rozchod na Pieczurę, który oraz jest y Cechmistrzem. Andrzeiu w tym roku dano mu za niedziel 26 na każdą niedzielę tygodniowego po złł. 1 doszło go złł. 26.

Po śmierci tegoż nieboszczyka przyieli nowego Kłysze, któremu doszło za niedziel 22 na każdy tydziń po złł. 1=złł. 22.

Ceklarzom dwom tygodniowego w tym roku doszło ych za niedziel 49 na każdy tydzień po złł. 1 gr. 20 co uczyni złł. 81 gr. 20.

Tymże od pomagania Mistrzu dano gr. 15.

Wydatki na „barwę" jak zwykle.

W tym roczniku znajdujemy jeszcze bardzo ciekawe rachunki dotyczące naprawy więzień:

„Naprawienie dwoch turm wyszniey i spodniey wedle wrot.

Wysznia turma:

Za pięć szmatow żelaza sztabowego do kraty zkąd złodzieie wyłamali szmat złł. 20 gr. 18.

Niska turma.

Gdzie się wyłamał złodziei Cygan bez ucha z niskiej turmy z piwnicy od zamurowania tej dziury (mularzu, pomocniku a także na wapno etc.) *złł. 8 gr. 25.*

„Rozchod dla białych głów na turme de nowo robioney“.

Ile wnosić można z bardzo drobiazgowego rachunku którego nie powtarzamy, musiało się zapaść w tym więzieniu sklepienie, oczem świadczy taki ustęp:

„Gdy sądzona była Cybulska, tego dnia zapadła piwnica, która baba szynki naprawiała“. Co oznacza wyraz „szynki naprawiała“—nie wiemy, z poprzedniego atoli rachunku kata dowiadujemy się, że *„gdy umarła Cybulska baba w turmie“* prześwietny Magistrat ofiarował na koszulę aż 3 złł. Taka hojność bezprzykładna, niepraktykowana względem innych zmarłych w więzieniu przestępców, zdaje się być nie bez przyczyny, gdyż Cybulska najprawdopodobniej zginęła skutkiem zawalenia się owego sklepienia, Magistrat poczuwając się do pewnej w tym względzie winy niedbalstwa, ponosi koszta pogrzebu. W rachunku na „turmę dla białych głów de nowo robioną“ znajdujemy najszczegółowsze wyliczenie wszelkich materjałów, drzewa, gwoździ, wapna, żwiru, opłaty majstrom i pomocnikom co wszystko razem in summa czyni złł. 32 gr. 24.

Mamy więc w tym roczniku niezmiernie charakterystyczne dane o stanie więzień wileńskich, które pod żadnym względem nie mogły być świetne. Nietylko że sklepienia zapadają się, grzebiąc pod gruzami babę Cybulską, nietylko że więźniowie wciąż uciekają, bądź to wyłamawszy kratę, bądź też inną jaką drogą, ale nawet z dolnej piwnicy, która chyba najpewniejszem była miejscem clauzury, *„złodziej Cygan bez ucha“* wyłamuje się rozwaliwszy mur, którą to dziurę następnie wypada zamurowywać kosztem Magistratu. A co już do warunków hygjenicznych, musiały one być wprost przerażające, gdyż w ciągu tylu lat po raz pierwszy czytamy o radykalnem *„wychandożeniu“ turm,* nie dziw więc, że wypadło aż

30 wozów „*plugastwa*“, za co zapłacono po gr. 15 od wozu, a że była to snać niezbyt przyjemna robota, dodano „*także chłopom czterem, którzy z turmy gnoy wynosili oraz tymże gorzałki kwart półtory gr. 25*“.

Rok *1671.*

W tym roku wydano za niedziel 53 na każdą po zł. 2 gr. 15 czyni zł. 132 gr. 15.

Kolendy y włóczebnego po zł. 2 gr. 15=zł. 5.

Temu na beczkę żyta dano zł. 6.

Kontentacyi z razu dano zł. 1 a gdy odchodził z miasta dano zł. 2 gr. 15 czyni zł. 3 gr. 15.

Temuż mistrzu na pochowanie dwóch straconych w zamku osądzonych dano zł. 5 gr. 15.

Ciekawem jest, że i tu nie znajdujemy zapłaty za stracenie obydwu przestępców, wspomniano jedynie, że zostali „osądzeni w zamku“. Czyżby zamek posiadał własnego kata? Jest to bardzo wątpliwe, gdyż kandydatów na to stanowisko zbyt dużo nie było, skoro wypadało sprowadzać z Niemiec. Zresztą stare przysłowie poucza, że „dwaj kaci w jednem mieście się nie pożywią“. Przypuszczać należy, że egzykucji dokonał także Wróblewski za co zapłatę otrzymał od zamku, miasto zaś, dbałe o czystość, kazało na swój koszt sprzątnąć trupy.

Od męczenia dwóch złodzieiów dano zł. 2 gr. 15.

Od obieszenia tychże dano zł. 5.

Na trunę dla ściętego złodzieia, którego pochował Mistrz dano zł. 3.

Za kłodę deszczek do stoli nad turmą, którędy złodziey uciek dano zł. 2.

Za iedne penta dla złodieia dano zł. 1 gr. 15.

Za dwa murłaty do pręgierza dano zł. 1 gr. 2.

Na tem urywa się rachunek mistrza Andrzeja Wróblewskiego. Czy to z powodu starości, czy też nieznajdując tu dostatecznego pola popisu dla swych talentów, opuszcza on gród wileński, żałowany przez zwierzchność, która mu na drogę wypłaca osobną „kontentację“.

Na jego miejsce niezwłocznie nowy mistrz zostaje przyjęty.

Jan Obst.

(d. c. n.)

Wspomnienia starca

(LEONARDA BOŚNIACKIEGO)

o powstaniu na Wołyniu w 1863 roku.

Żądacie abym wam opisał wypadki powstania 1863 roku na Wołyniu. Tak to już dawno się działo, tyle gorzkich i bolesnych z temi wypadkami łączy się wspomnień; pomocniczych dokumentów żadnych—jedyne to tylko co w pamięci zostało i z tego li tylko czerpać mogę. Wiadomo przytem, iż pamięć często zawodzi w głównych nawet zarysach, a cóż dopiero w szczegółach—takowe częstokroć zupełnie w pamięci nikną, lub mylnie się przedstawiają. Bywa też często i odwrotnie: jakiś szczegół mało znaczący tak się usadowi w pamięci, iż go stamtąd wyrugować trudno, a okoliczności ważniejsze, które mu towarzyszyły niestety czas pozacierał bezpowrotnie. Uznajecie mię za człowieka z dobrą pamięcią—może ona i lepsza trocha u mnie jak u wielu innych ludzi, niech i tak będzie,—wiem jednak na pewno, że i u mnie podlega ona w wielkim stopniu wszelkim tym niedołęstwom, o których powiedziałem tylko co. Oprócz tego spraw, które mi pozostały w pamięci, z owych smutnych czasów, nie byłem naocznym świadkiem—miewałem o nich li tylko ustną relację, wprawdzie zawsze z dobrego źródła, ale właśnie dlatego, że to były rzeczy słyszane, bardziej mi się one z pamięci powymykały. Zważywszy więc wszystko com przytoczył, przeświadczony

jestem, iż to co napiszę mocno niedołężnym będzie, ale chcecie—więc piszę. Mogę tylko śmiało powiedzieć, że to co pamiętam, wiem dobrze i za prawdę ręczę—czego zaś nie pamiętam i nie wiem dobrze, to chociażbym wspominał, dodam zawsze, iż tak słyszałem, tak mówiono, za prawdę nie ręczę, więc oczywiście takie orzeczenie wskaże, iż rzecz potrzebuje sprawdzenia. To wypowiedziawszy, zaczynam.

Znane są historji następstwa słów cesarza Aleksandra II, wyrzeczonych podczas bytności w Warszawie. Reprezentacji narodu, przyjmującego serdecznie Monarchę po raz pierwszy, od wstąpienia swego na tron, zwiedzającego stolicę ich kraju, Monarchę, który już potrafił zdobyć się na skasowanie, w całym swym państwie czyniącego hańbę cywilizacji poddaństwa,—na wprowadzenie sądów jawnych—reprezentacji narodu, posiadającego wyższą od innych, w skład wielkiego państwa wchodzących, kulturę, narodu w którym, wstąpienie na tron takiego Monarchy wzbudziło szereg najświetniejszych nadziei, oraz gotowości pomożenia Mu całem sercem do rozwoju cywilizacyjnych jego idei—narodowi temu powiedzieć naraz: „marzyć wam niewolno“. Cóż dziwnego, że słowa te wywołały szereg smutnych i bolesnych następstw. W tem co w następstwie się stało, zgadzam się, że mało było rozsądku, politycznego rozumu może jeszcze mniej—nieoględności zaś i szaleństwa było, z pewnością, co niemiara.

Nie przeczę, że margrabia Aleksander Wielopolski był może jedynym wówczas człowiekiem, posiadającym dojrzały rozum polityczny i że lepiej byłoby, gdyby się kraj był poddał bezwarunkowo jego kierunkowi. Nie podjąłem się rozwiązania tych dylematów, chcę być tylko naratorem, lecz obok, chcę zgóry wyrazić moje przekonania, iż niewolno potępić narodu za to, że nie posiadał wytrawności politycznej, bo gdzież miał jej nabyć, będąc od tylu lat pozbawionym bytu politycznego — ani też potępiać ówczesnych działaczy, bez względu na to, do którego który z nich należał obozu. To jest, nie potępiajmy „białych“ za to, że się im zdawało, iż bierną pracą zdobędą cel pożądany; „czerwonych“ czyli partji ruchu za to, że się im zdawało, iż przy ofiarności bezgranicznej odbudują byt niezależny i potrafią przyciągnąć pomoc obcej

interwencji. Nie potępiajmy również Wielopolskiego, który, w owe czasy, może sam jeden li tylko pojmował, co otrzeźwiwszy się dzisiaj wszyscy pojmujemy, że siła każdego narodu w nim samym tylko spoczywa i li tylko szczerą, wytrwałą i długoletnią pracą około dobra publicznego, zdobytą być może--za to, iż mało miał oznak zewnętrznych miłości swego społeczeństwa, a za dużo pychy i dumy, któremi otoczył się jak nimbem przed wszystkimi i starał się, nie wlewać i wdrażać swe przekonania ziomkom—lecz despotycznie je narzucić. Był on mądrym politykiem, lecz bodaj czy dobrym psychologiem. Powtarzam raz jeszcze, niewolno nam potępiać ani narodu, ani ówczesnych działaczy—gdyż każda partja działała w dobrej wierze, z całą gotowością niesienia siebie na ofiarę społeczeństwu swemu, byle mu zbudować lepszą przyszłość.

To działo się w Warszawie i tak zwanej Polsce właściwej, czyli Kongresówce, gdzie, prawdę mówiąc, oprócz Wielopolskiego, niemało było głębokich polityków i mężów stanu. U nas zaś, na kresach, gdzie po staremu, większość mieszkańców nie są Polacy, lecz Rusini, gdzie tylko inteligiencja, będąca wprawdzie reprezentacją narodu, jest polska—gdzie li tylko historja kraju jest integralnie związana z Polską przez długie wieki—aspiracje zaś, pomimo wszystkiego co się stało, były i są do dziś dnia federacyjne—nie wyrażające wcale biernej gotowości do poddania się absolutnym rządom wschodu—systematycznie dążącemu do odebrania nietylko nam, Polakom, najdroższych naszych skarbów: języka i religji, lecz nie przebaczającemu również i Rusinom, którym każą zapierać się tradycji i języka, nie pozwalając drukiem głosić utworów narodowych we własnym języku rusińskim, i którym nakazano w szkołach użycia obcego im języka nietylko w nauce, ale i w rozmowie.

Trudno zaprzeczyć, że nasze pojęcia polityczne w ogólności były bardzo słabo rozwinięte, i że objawy niezadowolenia, wywołanego w Warszawie, u nas słabiej się wyraziły i możeby nie były doprowadziły do ostatecznych następstw, gdyby nie nowe, lokalne powody rozdrażniania.

W maju 1859 roku wypadły wybory wołyńskie w Żytomierzu, i te przeszły cicho i spokojnie. Tegoż roku nastąpiły

we wrześniu wybory podolskie w Kamieńcu. Szlachta tam zebrana, chcąc korzystać z prawa jej przysługującego, które odnośnym artykułem powiada: dworzanie zebrani, w terminie określonym, dla dokonania wyboru urzędników z pomiędzy siebie, mogą, przed rozpoczęciem wyborów, naradzić się pod przewodnictwem marszałków o potrzebach swojej prowincji, gubernji, takowe potrzeby spisawszy, mają podać Monarsze, w formie petycji, czyli adresu wiernopoddańczego— przez ręce generał-gubernatora swego kraju,—jak tu, kijowskiego. Co też szlachta podolska zrobiła, a jak zrobiła, zapisano jest w Eparchjalnych Wiadomościach prawosławnej podolskiej Eparchji, nie pamiętam z którego roku. Petycja, czyli adres był napisany i podany przez ręce generał-gubernatora kijowskiego. I jakiż tego wynik? Wybory natychmiast zakryto, a szlachtę rozpędzono z Kamieńca. Nie pamiętam dobrze, czy kogo z marszałków wywieziono—podobno nie. W następnym 1860 roku w maju nastąpiły wybory w Kijowie. Szlachta, przy rozpoczęciu wyborów, nie zważając na przeszłoroczną katastrofę, na mocy wzmiankowanego wyżej prawa przystąpiła do obrad i, ułożywszy adres, podała takowy już nie przez ręce generał - gubrnatora, lecz wysyłając przez pocztę, wprost do Cesarza, tłumacząc się w tymże adresie, że może Cesarz nie wie o tem, iż generał-gubernator w przeszłym roku, natychmiast po przedstawieniu najpoddanniejszego adresu szlachty podolskiej, zakrył wybory w Kamieńcu, nie odwołując się do Monarchy, natychmiast swoją li tylko władzą—dlatego oni, ośmielają się posłać Jego Cesarskiej Mości swój najpoddanniejszy adres bezpośrednio. Następstwem tego było to, iż wybory zostały natychmiast przez gen.-gubernatora zakryte, szlachta z Kijowa rozpędzona, a nadto marszałek Radomyślskiego powiatu Wierzbicki, zato, że odnosił adres na pocztę, oraz Kotiuszyński Konrad Czehryńskiego i Florkowski Czeraskiego marszałkowie, podobno zato, że jako najmłodsi wiekiem między marszałkami, najgoręciej i najgłośniej mówili, podczas debatów przy ułożeniu adresu,—zostali wszyscy trzej pochwyceni i z żandarmami wywiezieni do Rosji. Zdawałoby się, że adresy owe wyrażały jakieś aspiracje polityczne. Podolski po części może, gdyż wyraziwszy swoje potrzeby miejscowe, przedewszyst-

kiem administracyjne i wyraziwszy, iż administracja miejscowa nie dba ani trocha o dobrobyt kraju, a pamięta li tylko o własnych kieszeniach, proszą być połączeni, tylko ze względów administracyjnych — z namiestnictwem Warszawskim, pod którym kraj z natury ubogi wzbogaca się postępowo—ich zaś kraj, pomimo wielkich bogactw przyrodzonych, ubożeje i przychodzi stopniowo od coraz smutniejszych warunków ekonomicznych. Kijowski adres o tem nie wspomina—szlachta w nim prosi najusilniej o zwrócenie uwagi na krzyczące potrzeby kraju, najsystematyczniej przez miejscową władzę zaniedbywane—i prosi o prawo brania udziału w obradach nad zadowolnieniem takowych potrzeb.

Przytoczywszy tak dosadne fakta, powtarzam raz jeszcze, iż dziwić się i potępiać popełnionych szaleństw i nierozwagi nie można i nie należy. Wracam znów do naracji.

Mieszkałem w gubernji kijowskiej, powiecie berdyczowskim, dzierżawiąc majątek (Bryckie) [1]), gdy w 1861 roku doszły nas wiadomości o strzelaniu na ulicach Warszawy. Tak w okolicach naszych, jak i we wszystkich kątach kraju, stanowiącego niegdyś prowincję Polski, zajścia te wywołały wzburzenie i, że się tak wyrażę, jeden serdeczny, bolesny jęk. Jęk ten zapędził nas, bez żadnej namowy i zmowy, do świątyń Pańskich. Wszędzie odprawione zostały nabożeństwa, podczas których, przy kornej modlitwie i łzach boleści powszechnej, odezwały się, jak na dane hasło, hymny: „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“—i było to mimowiedne, wzniosłe i wielkie. Niestety, gdy zaczęło się często powtarzać, stało się niejako paradą z uczuć, które wcale nie od parady być powinny; a nadto obudziło to czujność policji i władz administracyjnych. Ten pierwszy jęk, jakem nazwał, był tak imponująco uroczystym na prowincji, jak ów pogrzeb poległych w Warszawie. Administracja tutejsza niemal uszanowała ów objaw; przynajmniej siedziano spokojnie, nikogo nie dotykając. Gdy jednak przywdziano żałobę powszechną i zaczęto używać represji, dla pobudzenia poważniejszych kapłanów do odprawiania częściej nabożeństwa — rozpoczęły się, najwięcej w Żytomierzu i w Równym, aresztowania, prześladowania,—a

---

*) Vide. „Rok 1863 na Rusi“ Fr. Raw. Gawrońskiego tom II, fol. 145.

ze strony naszej, niepotrzebne prowokacje. Trwało tak niemal rok cały.

W berdyczowskim powiecie znalazła się garstka ludzi inteligentniejszych, których, słusznie bardzo, takie postępowanie braci gorszyło, dlatego, przy gorliwym ich staraniu, na wiosnę 1861 r., korzystając ze zjazdu szlachty, przez rząd powołanej do Berdyczowa, dla obioru Mirowych pośredników, postanowiono jednocześnie wybrać z pomiędzy siebie trzech poważnych ludzi, bez koncesji których nie śmianoby przedsięwziąć nic, cokolwiek trąciłoby polityką. Ba, nawet w rzeczach zupełnie prywatnej natury, jako nieporozumienia towarzyskie, pochodzące, czy to z nieporozumień między sąsiadami, czy też ze stosunków codziennych lub wypadkowych—poddawane być powinny sądowi mężów, areopag ów stanowiących. Jednym słowem, dołożyć wszelkich starań, by jedność i zgoda były jak najzupełniej utrzymywane i w takiej jedności czekać, a wtedy gdy potrzeba tego będzie, działać tak, jak na wspólnej zgodzie postanowionem zostanie. Prawda, że pierwszy wybór owych trzech nie zupełnie był udatny, a właściwie jeden z nich A. O. był człowiekiem wcale podejrzanej wiary. Przciwko wyborowi tego pana ja i paru innych protestowaliśmy—reszta zaś zebranych dali się uwieść sofistyczną jego wymową—i został wybrany. Niestety, opinja moja o tym panu sprawdziła się, ale daleko później, już po rewolucji—wtedy zaś, aż do wybuchu powstania, nic mu zarzucić nie można było. Rzecz pożałowania godna, że inne powiaty nie poszły za przykładem berdyczowskiego. Wprawdzie i tam, prócz ofiar strasznych, nic nie pozostało, ale gdyby wszędzie umiano się tak organizować, jak w berdyczowskim, całe powstanie miałoby przynajmniej pozór walki na serjo—nie zaś buntu żaków, jak po większej części miało to miejsce.

Zjazd, wyżej opisany, był zupełnie oficjalny—ponieważ odbył się on na wezwanie rządu, by skutkiem uwolnienia chłopów, manifestem 19 lutego 1861 roku, w rocznicę wstąpienia na tron Cesarza ogłoszonym—więksi właściciele ziemscy wybrali z pomiędzy siebie tak zwanych Mirowych pośredników, którym rząd nadawał prawo ścisłego przestrzegania nadanych włościanom praw i pośredniczenia między właścicielami ziemi, a włościanami we wszelkch nieporozumieniach

i stosowaniu nowych ustaw i nakazał, by obywatele wybierali takowych pośredników z pomiędzy siebie, oznaczając minimalny cenzus majątkowy 100 dziesięcin własnej ziemi, dający prawo być wybranym. Korzystając z tego zjazdu, obrano nietylko pośredników w berdyczowskim powiecie, ale nadto ów, wspomniany wyżej, areopag, mający jak mówiłem, pośredniczyć także we wszelkich sprawach politycznych i osobistych, nietylko między ziemianami, ale i w ogólności między inteligentnymi ludźmi całego powiatu. Dlaczego nie skorzystano wszędzie z takich zjazdów nie wiem, lecz przypuszczam, że tylko dla braku światłej i czynnej incjatywy, jaka się tam znalazła w osobach: Adolfa Pilchowskiego i doktora Wincentego Odrzywolskiego. Czy były gdzie podnoszone głosy w tym przedmiocie w innych powiatach naszych trzech gubernji— nie wiem z pewnością, gdyż brałem udział tylko tam, gdziem się osobiście znajdował, ale nie słyszałem nawet by tak było. Właściwie mówiąc, najbardziej, ciągłemi manifestacjami i demonstracyjną żałobą, odznaczał się Żytomierz, to też i więzienie, w najętym ad hoc domie, prędko tam zostało wypełnione młodzieżą, prawie samą żytomierską. W Kijowie, gdzie ówczesna młodzież uniwersytecka stanowiła 80% Polaków, miała prawdopodobnie także chęć demonstrowania. Czcigodnej pamięci, będący podówczas kuratorem okręgu naukowego, zasłużony profesor Pirogow, człowiek pełen światła, nauki i wysoko szlachetnych zasad, wezwał do siebie studentów, po kilku z każdego wydziału i wystawił im, iż jest pewnym, że młodzież, stanowiąca kwiat społeczeństwa, niewątpliwie jest przekonaną, iż celem jej jest gruntowne kształcenie się w naukach, obranych przez każdego z nich dobrowolnie—oraz ćwiczenie się w cnotach społecznych, do czego życie koleżeńskie bardzo im pomaga. Dalej, iż on pewnym jest, że młodzież, jego kierunkowi podległa, nigdy nie zapomni o tych głównych celach, i nie będzie się wdawała w żadne manifestacje, które w gruncie rzeczy, są dzieciń每stwem—i że ci, z którymi on w tej chwili biesiaduje, dadzą mu słowo w imieniu wszystkich kolegów swoich, iż do żadnych demonstracji należeć nie będą. Szlachetni młodzieńcy oświadczyli mu na taką przemowę, iż są najzupełniej przekonani co do słuszności absolutnej słów

pana kuratora, serdecznie mu wdzięczni za takowe i każdy za siebie daje mu żądane słowo—lecz dać słowo w imieniu wszystkich kolegów, byłoby z ich strony nietylko ryzykownem, ale i cechującem wielką zarozumiałość. Jeżeli zaś pan kurator pozwoli, by każdy z nich w swoim kółku zakomunikował światłe wymagania jego, mają nadzieję, iż koledzy upoważnią ich do dania żądanego słowa. Pirogow uznał to za zupełnie słuszne i pożegnał słowami: Spodziewam się powitać panów u siebie za trzy dni i gdy mi przyniesiecie żądane słowo, pewny jestem, że będę mógł śmiało zaręczyć Monarsze zupełny spokój w uniwersytecie naszym. Niestety, ten niepospolity mąż niedługo już potem był kuratorem. Młodzież żądane słowo mu dała i święcie dotrzymała, do ostatniego momentu jego kuratorji. Po latach kilku, mianowicie w 1870 roku, miałem zręczność zbliżenia się do Pirogowa i szczęśliwą sposobność częstszego z nim biesiadowania. Otóż powyższe wiadomości miałem z jego własnych ust, a na zapytanie moje dlaczego podał się do dymisji w chwili, gdy szlachetny jego kierunek, zwłaszcza dla młodzieży polskiej, tak bardzo był potrzebnym—odpowiedział mi, iż zażądano od niego by był jednocześnie kuratorem i szefem żandarmów. „Przyzna pan,—powiada,—że tych dwóch obowiązków pogodzić w sobie nie potrafiłbym. Ja starałem się powstrzymywać młodzież od polityki, a w przypadku mimowolnego wybryku któregokolwiek z nich, starałem się ochronić go od smutnych następstw, a tu mi niedołężny naczelnik kraju, książę Wasilczykow, zaczyna wymawiać, iż jestem zanadto pobłażliwy dla młodzieży i jemu wiadomo jakim duchem napojona młodzież polska, oraz, że ja staram się ciągle zakrywać każdego. Przytem, kategoryczne postawił mi żądanie, bym nadal inaczej postępował. To też postąpiłem inaczej, podałem się do dymisji“.

Zresztą koniec 1861 i 1862 rok przechodził w naszej prowincji spokojnie, ponieważ wszyscy ziemianie, a więc większość inteligiencji, zajęci byli układem nowych stosunków z włościanami, co bez zaprzeczenia, stanowiło organicznie żywotną kwestję naszego kraju i społeczeństwa. Trzeba przyznać, iż do tej kwestji wzięto się gorliwie i poczciwie. Wybór pośredników, prawie bez wyjątku, padł na ludzi ważność pozycji pojmujących, ludzi, odznaczających się dotąd serdecz-

nem i prawem postępowaniem z chłopami jako poddanymi i pojmujących, że przy układzie nowych stosunków, trzeba być bacznym, by te stosunki były szczere, jasne i ujmujące ze strony tych, co dają—ze strony tych, co wieki korzystali z pracy tego ludu. Zaczęto urządzać gminy (wołosti) i już w jesieni 1862 roku przystąpiono do wprowadzenia w czyn zarządu i sądów gminnych. A więc rozpoczęły się wybory wójtów gminy (wołostnych starszyn) i wiejskich starostów, również sędziów gminnych—oraz naznaczenie pisarzów gminnych. Jednocześnie wzięto się do urządzania szkółek gminnych, przy znaczniejszych i ludniejszych gminach. Na obowiązki pisarzy i nauczycieli do szkółek, podało się niemało młodzieży uniwersyteckiej, którzy porzuciwszy studja, pracować chcieli w interesie społeczeństwa, powodowani li tylko szczerą miłością tego ludu i ideą uczynienia zeń czynnych i pożytecznych członków towarzystwa, wszczepiając w nich nie zazdrość kastową i materjalną, a potrzebę szanowania cudzej własności i umiłowanie pracy, jako czynnika uszlachetniającego człowieka bardziej, aniżeli wszelkie przywileje. Między tą młodzieżą było najwęcej polaków, lecz byli i rusini, po większej części popowicze, lecz ci mieli, oprócz wszystkiego, a może i nadewszystko ideą narodowością do propagowania między ludem. Jedni i drudzy prędko przez rząd usunięci zostali, jako ludzie nie życzący sobie zająć się jedynie rozpowszechnieniem idei ogólno państwowej rosyjskiej.

Wybory odbywały się po wsiach lub miasteczkach, w których ustanawiał się zarząd gminy, dokąd zjeżdżała komisja, złożona z marszałka powiatowego, mirowego pośrednika i sprawnika, lub jego pomocnika. Jaki był u nas stosunek chłopów z panami, miałem tego próbę u siebie. Wybory odbywały się u mnie, na obszernym dziedzińcu zgromadzeni byli wyborcy z miejscowej i z kilku okolicznych wiosek do gminy należących. Po wytłumaczeniu wyborcom w jakim celu są zwołani i czego się wymaga od nowych urzędników, to jest, że powinni być uczciwi, trzeźwi, posiadający zaufanie współziemian i na tyle roztropni, by mogli łatwo poznać i nauczyć się czego od nich prawo wymaga i co im ono nadaje. Co wyłożywszy, poszliśmy na obiad z panami komisję stanowią-

bór kandydatów będzie dokonany. Po obiedzie wychodzimy na dziedziniec i widzimy ożywone narady wyborców, bardzo poważnie prowadzone, nareszcie kilku poważniejszych wyborców oddziela się z pomiędzy innych i podchodzą do nas. Pośrednik pyta ich czy już obrali kogo należy—powiadają—nie, ale chcemy się zapytać, czy to koniecznie mamy wybrać z pomiędzy nas, chłopów — tak, powiadają, prawo żąda, by urzędnicy wasi byli wybierani tylko z pomiędzy was. Szkoda, powiadają, bó myśmy się obradzili, żeby prosić tego pana—wskazując na mnie—żeby był naszym starszyną, my jemu wierzymy, a on by nas ciemnych pewnie objaśnił w każdym względzie i szczerzeby poradził w każdym wypadku. Wtedy jeszcze mało było przykładów takiej ufności ze strony włościan i niewiem dlaczego, ale daleko więcej na dalszych kresach aniżeli na Wołyniu. Nasz kredyt podkopany został, w parę lat później, przez systematyczną usilność policji, a następnie przez czeredę nasłanych z zadnieprza koronnych mirowych pośredników, którzy odrazu stali się pośrednikami niepokoju, waśni, niezgody i rozdmuchiwaczami namiętności. Pierwsze kroki ludu naszego na drodze samorządu, jako ludu wiekami gnębionego w niewoli i utrzymywanego w ciemnocie—były oczywiście niedołężne, lecz zarazem nacechowane ufnością względem inteligencji, do której zwracano się z ich strony po objaśnienia i wskazówki, Gdzie tedy był pisarz roztropny i uczciwy, tam szło wcale nieźle odrazu — zwłaszcza przy pilnej baczności obranych z pomiędzy nas pośredników. Otóż należało wtedy odrazu stłumić wszelkie pokuszenia czerwonych, czyli partji ruchu, co do zamiarów rewolucyjnych, dopóki się przynajmniej nie ułożą i nieutrwalą nowe stosunki z ludem, zwłaszcza u nas, gdzie inteligencja reprezentowała inną, a lud inną narodowość.

Partja umiarkowanych szczerze i z dobrą wiarą pracowała nad zbliżeniem ludu z inteligencją, na czele tej partji stał, jak wiadomo, hr. Andrzej Zamojski, a pomagało mu w tem Towarzystwo Rolnicze. Partja czerwonych, czyli ruchu, gorącym swym animuszem i nadmiernym parciem się naprzód, psuła ciągle powolną pracę umiarkowanych. Hr. Zamojski czy nie umiał, czy nie miał dość taktu, by wysunąć

się naprzód i pokierować umysłami, a gdy władzę legalną objął margrabia Wielopolski, pomimo wielkiego rozumu, zbyt despotycznie i dumnie sobie poczynał—i dlatego nietylko nie powstrzymał, ale nawet przyśpieszył wybuch. Walka między temi stronnictwami toczyła się w Warszawie i w Kongresówce. Jednakże wszystko to, co się u nas stało, było li tylko odbiciem tego, co do nas z Warszawy dochodziło.

Na początku 1862 roku przeniosłem się z Ukrainy na Wołyń do mego dziedzicznego majątku. Tu wraz ze wszystkimi sąsiadami zająłem się układaniem Listów nadawczych (Ustawnej Hramoty), co nam ustawą 19 lutego było poleconem. Znów przypomnę, że czynność ta, bez wyjątku prawie, dokonywała się sumiennie, szczerze, nawet z gotowością poniesienia pewnych ofiar, byle utrzymać dobrą harmonję z ludem i wyrobić wzajemną ku sobie ufność. Wśród takich czynności przeszedł nam 1862 rok, wśród pilnego jednak nasłuchiwania co się dzieje w Kongresówce, jak tam idą sprawy, kto bierze górę, czy umiarkowani, czy czerwoni, czy też Wielopolski.

Z historji wiemy, jak się to skończyło niestety, a na własnej skórze nosimy dotąd niezatarte blizny.

Wielopolski z początkiem 1863 roku najprzód przyczynił się do zamknięcia Towarzystwa Rolniczego i wywołał tem masę ku sobie niechętnych, a nadto, zbliżył umiarkowanych do czerwonych, tak, że ci ostatni niezmiernie zasileni zostali i ostatecznie wzięli górę. Margrabia, chcąc się pozbyć niespokojnych żywiołów, nakazuje pobór wojskowy i takowy dokonał się w styczniu 1863 roku i stał się pierwszym kontygensem powstania.

Pamiętam, jak jadąc do Żytomierza 22 czy 23 stycznia star. st., a była zima bezśnieżna, w lesie, między Deneszami a Żytomierzem, spotkałem się z jednym z moich sąsiadów, wracającym z Żytomierza i dowiedziałem się od niego z przerażeniem o wybuchu powstania w Kongresówce. Pośpieszyłem do Żytomierza i zastałem tam zgromadzonych licznie ziemian obywateli, na pogrzeb Eligiego Piotrowskiego, zmarłego przed trzema dniami obywatela, który był przed laty najprzód deputatem a potem prezesem Wołyńskiej Cywilnej

Izby Sądowej i który przez czas długiego swego urzędowania i cnotliwym życiem swoim, wzbudził ku sobie powszechny szacunek i ogólne uznanie. Nic więc dziwnego, że fakt tak wielkiej doniosłości, jak powstanie w Kongresówce, zastałem u wszystkich zgromadzonych na myśli i ustach. Oczywiście cała uwaga nasza, z najwyższym natężeniem, zwróconą została w tamtą stronę. Większość zgromadzonych przyjęła wiadomość z wielką boleścią, nic dobrego nie wróżąc z następstw niewczesnego powstania. Byli jednak i tacy co chcieli i u nas w też tropy, rozpoczynać jak najprędszy ruch czynny—nie zważając na to, że ani ludzi, ani broni, ani amunicji nie mieliśmy, nietylko zaraz, ale i do końca, w naszem rozporządzeniu. Po trzydniowych debatach w Żytomierzu, gdzie obok zdań bardzo światłych, większość zdradzała się z przekonaniami niemal dziecinnie niedojrzałemi, a w dodatku ogniście zarozumiałemi, stanęło przynajmniej na tem, że się poddamy rozporządzeniom świeżo powstałego Rządu narodowego. Nagadawszy się niemało, rozjechaliśmy się do domów, a jednocześnie rozpoczęły się w całym kraju konspiracje trwające trzy miesiące i zakończone w końcu kwietnia wybuchem niedołężnego powstania i u nas. Konspiracje odbywały się u nas tak, jak one zwykle i wszędzie się odbywają. Więcej było w nich przechwałek, gróźb wzajemnych i kłamstwa, aniżeli szczerej prawdy i zdrowego rozumu. Trzeba tylko przyznać jedno, że gotowość niesienia siebie na ofiarę była powszechną. Zwłaszcza ci, co przez Rząd narodowy byli wyznaczeni na przywódców ruchu, bez wyjątku, poddali się rozporządzeniom tego rządu całkowicie i bezwarunkowo, i przystąpili do czynu oddając siebie, bez względu na nic, na ofiarę temu krajowi, który całym sercem umiłowali. Porozumienie z Rządem narodowym nastąpiło bardzo prędko. Znaleźli się pośrednicy co natychmiast po wiadomości o wybuchu pojechali do Warszawy i przywieźli stamtąd nominacje na naczelników powiatowych, a tym dali prawo dobierania sobie pomocników i nominowanie takowych bez odwoływania się do Rządu po potwierdzenie. Zalecono przytem czynić wszelkie przygotowania do powstania, jeżeli takowe okaże się u nas możliwem. Odbywały się tedy zjazdy pod różnemi pozorami, zaciągało

się coraz więcej ludzi do spisku, i prawdę powiedziawszy, wszędzie, gdzie dotknęłem ludzi prostych, znajdowałem jedną odpowiedź: jeżeli panowie, co macie tyle do stracenia, stajecie w szeregach powstańców, to cóż o mnie mówić, przysięgam, że stanę i pójdę na życie i śmierć wszędzie, gdzie poprowadzicie. W zjazdach konspiracyjnych, jeżeli kto ośmielił się podnieść głos ostrzeżenia lub pesymistycznej uwagi, bywał natychmiast zakrzyczany przez optymistów, a nawet obrażony potwarzą, zaraz w oczy rzuconą, że jest służalcem moskiewskim, i jako taki wykluczony będzie z towarzystwa, a gdy wybuchnie powstanie, grożono mu, że będzie przez powstańców najechany i przykładnie ukarany. Dwuch tylko znałem ludzi, którym uchodziło mówić otwarcie o niewczesnem i niewłaściwem znajdowaniu się gorących działaczy rewolucyjnych i o smutnych następstwach niewczesnego powstania. Jeden z nich, był to człowiek powszechnie szanowany i poważany w kraju, jako człowiek wielkiego rozumu i nauki, oraz wielkiego serca, który miał tyle powagi i wiary w współobywateli, iż mu zaprzeczać nie śmiano i spokojnie musiano słuchać, ale niestety nieusłuchano. Był to Albin Piotrowski. Przewidział on wszystko, co się stało, lecz widział i bolał bezmiernie, że się już stać musi. Bywał on na zjazdach konspiracyjnych i w swoim domu takowy dopuścił—stawał z całą odwagą i dowodził silnemi argumentami nieoględność i niewłaściwość naszych działań. Nie umiano silnie argumentowanych zdań jego zbić również silnymi argumentami, ale się nie dano pomimo tego przekonać,—kończyło się tedy i skończyło, iż wyrzekł na końcu: nie chcecie usłuchać głosu serca mego, róbcie jak umiecie, oby Bóg okazał nad nami miłosierdzie swoje! Drugi był to ks. Hulanicki, niegdyś proboszcz Izmaiły, która po wojnie krymskiej przeszła pod panowanie tureckie, a on zaliczony został do Łucko-Żytomierskiej djecezji i przyjął czasowo skromną posadę kapelana w Romanowie. Był to mąż uczony i cnotliwy i chociaż nie miał tak szerokich stosunków jak Alb. Piotrowski, ale również jawnie i otwarcie, przed kim należało, przekonania swoje wypowiadał, przekonania zupełnie z uprzednim zgodne i również nie mogąc przekonać, skończyło się słowami: cóż robić, pozostaje mi tylko gorąco modlić się na waszą inten-

cję. W Żytomierzu podobno teror rewolucjonistów był największy, wszyscy co śmieli głośno się odezwać ze zdaniem przeciwnem ruchowi, oprócz nieprzyjemnych krzyków i gróźb, miewali w dodatku i okna pobite w swoim mieszkaniu.

Ciągłe raporta od nas były posyłane do Rządu narodowego, a od Rządu szły do nas rozkazy—lecz niestety od nas raporta łudzące, że lud trzyma z nami, a od nich zapewnienia, że będziemy mieli w porę, na punktach wskazanych, broń i amunicję. Myśmy się łudzili owemi faktami, które wyżej przytaczałem, i nie potrafiliśmy przejrzeć, że rząd tutejszy za pośrednictwem policji, której nakazał działać jak najsekretniej, powtarza wszędzie ludowi, że pany przygotowują się do tego, by ich na nowo wziąć za łeb i zawrócić pod bat i do pańszczyzny. Tymczasem w Warszawie zupełnie inaczej myślano. Tam postanowiono przygotować listy nadawcze pod imieniem „Złotej Hramoty", któremi miano zapewnić ludowi naszemu na kresach, do niedawna będącemu w poddaństwie—nietylko wolność osobistą i również we wszystkiem w obliczu prawa, lecz nadto, nadanie ziemi, przez rodziny dziesiejszych włościan posiadanej, na wieczystą własność tychże rodzin, bez żadnego wykupu. Owe Złote Hramoty zostały luksownie wydrukowane złotemi literami, podobno w Kijowie, po rusińsku, słowiańskiemi literami. W połowie kwietnia star. stylu, którego do końca trzymać się będę, odebraliśmy rozkaz Rządu narodowego przyśpieszenia ruchu, a w parę dni potem zakomunikowano nam rozkaz podniesienia broni w dniu 26 kwietnia. Kazano Rozpocząć powstanie z bronią jaka się znalazła pod ręką. Właściwie była nią lepsza i gorsza broń myśliwska, po jednej strzelbie na kilku lub czasem i kulkunastu powstańców, gdzieniegdzie pałasz, gdzie-niegdzie rewolwer, lub stary pistolet, nóż myśliwski—a zresztą, naprędce przygotowywały się piki dla konnych i osadzały się kosy dla piechoty, ot i wszystko. Prochu wprawdzie mieliśmy zapasy niemałe. Obiecano najsolenniej, że wszelka broń wojenna i amunicja będą dostarczone na punkta wskazane, a tymczasem mogą być łatwo zdobywane na niewielkich oddziałach wojsk rosyjskich, ponieważ wojska w kraju bardzo mało, co było prawdą, i dlatego należy korzystać z momentu. Główna siła wojska była w Kongresówce i

na Litwie, gdzie także od miesiąca partyzantka działała na dobre—u nas zaś rzeczywiście bardzo niewielkie były oddziały pojedyńczych rot, a conajwięcej bataljonów, gdyż całego pułku w zebraniu nie było nigdzie. Jednocześnie z wybuchem kazano nam głosić i rozdawać Złotą Hramotę, której paki na kilka dni przed wybuchem poodbieraliśmy. Stosownie do rozkazów powyznaczane były punkta zborne, nadszedł ów fatalny 26 kwietnia i ruch się rozpoczął. Niestety żadna z łudzących obietnic nie była dotrzymaną. Broni i amunicji nigdzie, wybór powstańców tak manifestacyjny, tyle czułych i głośnych pożegnań, tyle nieostrożności w przygotowaniu pik, jedynej broni przygotowującej się na miejscu, iż czujność policji została zdwojoną. Chłopi najniespodziewaniej stanęli po stronie rządu, tak, że poczynając od 26 kwietnia policja miała nieustanną i po większej części gorliwą z nich pomoc tak, że odrazu, w dniu wybuchu, rozpoczęły się chwytania powstańców na wszystkich prawie mniejszych punktach i odstawianie ich do ciasnych etapowych więzień. Tylko na większych punktach zbornych pozbierali się powstańcy w nocy na 26 kwietnia, lecz w ilości do nie uwierzenia mniejszej, aniżeli się spodziewano i bardzo licho uzbrojonych. Na punktach mniejszych, w lasach podobno gromadniej się zbierano—ale w południowej części Wołynia, gdzie kraj odkryty, w wielu bardzo miejscach, nie poznajdowano się wzajemnie, błąkano się szukając jedni drugich, póki chłopi nie pochwytali tych i owych, owi chłopi, co to tak bardzo mieli sprzyjać naszej sprawie—tymczasem oni to właśnie, przy pomocy garstki kozaków dońskich, z wielu powstańców zaraz pierwszego dnia porobili więźniów. Niestety i ja z kilkoma innymi dostałem się tamże zaraz 26 kwietnia. Ci, co mieli na punkt naznaczony przybyć wraz ze mną, nie przybyli, gdyż, jak się pokazało potem, również pochwyceni zostali, lub też na wieść, że chwytają, porozbiegali się i potem, pojedyńczo już, poprzyłączali się do partji Różyckiego. Bogu podobało się, żem się odrazu znalazł w liczbie pochwytanych, skrępowanych, odwiezionych do Żytomierza i osadzonych tam w więzieniu. Wszystko tedy co dalej piszę, będzie już tylko relacją naocznych świadków, których wielu było pomiędzy więźniami.

Z początku, zaraz po uwięzieniu i przybyciu do pierwszego etapu, spotkałem dużo współczucia i niejakie przerażenie nawet, między ludem, na widok mnie, znanego im dobrze w całej okolicy—siedzącego na prostym wozie jako więzień. Gdy kozacy, co mię uwięzili, zażądali od chłopów, dla skrępowania mię, sznurów, chłopi im nie dali i do pierwszego etapu jechałem nie skrępowany. Na drugi dzień 27 kwietnia, gdy nas już wieziono drogą do Żytomierza z pierwszego etapu, znalazł się oddzialik urlopników powołanych na służbę i tych użyto do pomocy kozakom dla eskortowania nas do samego Żytomierza i jako piechurów, posadzono ich z nami na wozach. Pamiętam, że obok mnie posadzono jakiegoś podoficera katolika z jednodworców, to jest ze szlachty, która przy ubóstwie swoim nie miała możności złożenia dostatecznych dokumenów do przyznania im praw szlachectwa. Oddzialik kozaków był bardzo mały, pół plutona tylko, więc oficera nie było—komenda była przy podoficerze kozackim, u nich uradnikiem zwanym, a siedzący przy mnie podoficer ze swoim półplutonem także, był poddany również zwierzchnictwu tegoż kozackiego uriadnika. Gdyśmy wyjchali za Cudnów, zrobił się jakiś alarm, eskortującym kozakom się wydało, że jakiś oddział powstańców pokazał się pod lasem, dalej jak na strzał karabinowy odległym od drogi. Uradnik kazał natychmiast eskorcie się zatrzymać i posłał dwuch kozaków na rekonesans. Wtedy to mój podoficer szepce do mnie: „Panie, jeżeli to powstańcy się okażą, ja panu natychmiast więzy rozetnę, a jeżeli zobaczysz, że ja tchórzę, chwytaj mi karabin z rąk, mnie jako tchórza pchnij bagnetem, a uradnikowi kuli w łeb nie żałuj“. Tymczasem pokazało się, że to byli tylko chłopcy z sąsiedniej wioski, pasący konie przed lasem. W Piatce na etapie nocowaliśmy, a rano przez Trojanów powieziono nas do Żytomierza. W Trojanowie dopiero rozpoczęły się męki zupełnego rozczarowania. Chłopi spotkali nas z takim urąganiem i tylu obelgami, iż nie wiem do czego byłoby doszło, gdyby eskortujący nas żołnierze nie byli stanęli w naszej obronie. Kozacy nahajkami rozpędzali tłum, który się zabierał do ściągania nas z wozów. W Żytomierzu zaraz spotkaliśmy się z dziesięćkroć większą liczbą wozów, wiozących, tak jak my, skrępowanych więźniów. Byli

to, niedobitki Skwirskiej partji, gubernji kijowskiej, pod wodzą Chojnowskiego, oficera akademji generalnego Sztabu i on sam znajdował się w ich liczbie. Tym nie dano czasu sformować się nawet, pochwytano ich natychmiast między Jaropowcami a Iwnica — która jest już w powiecie żytomierskim blizko Żytomierza położoną—dlatego ich tutaj skrępowanych dostawiono. Przywiziono nas wszystkich na dziedziniec zarządu powiatowego—do sprawnika, tam zapisano, z więzów zwolniono i, pod eskortą miejscowego garnizonu poprowadzono do turmy, do osobnych wprawdzie pokoi. Zastaliśmy tam już niemało więźniów, połapanych w chwili dążenia do oddziału Chojnowskiego, po większej części nie przez wojsko, lecz przez samych li tylko chłopów. Najwięcj dokazywali chłopi w Sołotwinie koło Kodni i w Tatarynówce również koło Kodni po drugiej stronie. Między więźniami był jeden, z opuchłą szyją, bardzo przygłuszony, nie zupełnie jeszcze przytomny, którego Sołotwińscy chłopi dwa razy wieszali i przyduszonego odczepiali. Na drugi dzień, to jest 29 kwietnia, przywieziono ze trzydziestu więźniów z pod Baraszów, byli to ci co nie potrafili się złączyć z oddziałem Chranickiego. formującym się w lasach, między Żytomierzem, Zwiahlem, Romanowem, Baranówką. W parę dni potem, zaczęto zwozić Owruczanów, mających tworzyć partję wraz z Radomyślskimi w okolicach Chabna. Nie dano im się złączyć—połapano po kilku i po kilkunastu i do Żytomierza przywieziono. Najokropniejszy, pełen zgrozy i boleści, był stan biedaków studentów uniwersytetu kijowskiego, którzy dążyli do rozbitego już oddziału Chojnowskiego i w Sołowijówce przez chłopów osaczeni, straszliwie traktowani byli. Wielu z nich pomarło wśród męczarni tamże w Sołowijówce i byliby wszyscy wymordowani, gdyby nie nadszedł oddział wojska z oficerem i ten resztę wyratował. Między pomordowanymi w Sołowijówce był student Abramowicz ze Zbaraża, któremu chłopi, związawszy go, przewiercili głowę od ucha do ucha, innym inne zadawali męczarnie, również straszliwe i śmiertelne. Młodzież akademicka była pod wodzą Jurcewicza. Ten pobity, z okiem nadwerężonym, przywieziony był z innymi do Żytomierza, a po wyleczeniu, odesłany do fortecy kijowskiej, skąd udało mu się uciec i dostać za granicę.

Kolega jego Dorożyński był przez wojsko odcięty od belki, a wprzódy tak nielitościwie bity, szczególnie po głowie, że skonał biedak, na trzeci dzień, ani na moment przed śmiercią nie odzyskawszy przytomności. Pochwycono kilka osób z miasta i tych także do nas przyprowadzono, mianowicie: Antoniego Dunina, Stanisława Miaskowskiego, Ignacego Knolla, Aleksandrowicza, dymisjonowanego pułkownika generalnego sztabu i Władysława Leśniowskiego. Tych pięciu, w kilka tygodni potem, wywieziono do Orenburga i osadzono w Sterletamakach. Od przybywających więźniów dowiedzieliśmy się, że w kijowksiej gubernji są oddziały powstańców, z samego Kijowa, pod wodzą Romualda Olszańskiego, w Taraszczańskim pod wodzą oficera generalnego sztabu Zielińskiego i najpoważniejszy oddział w Berdyczowskim, pod wodzą Platona Krzyżanowskiego, oficera z powstania 1831 roku, prawosławnego, lecz szczerego Polaka. Na Wołyniu zaś trzy poważniejsze oddziały, mianowicie: Chranickiego, oficera generalnego sztabu, między Żytomierzem, Zwiahlem, Miropolem; drugi w powiecie zasławskim, w lasach między Połonnym, Sławutą, Szepetówką, pod wodzą Józefa Machczyńskiego, dymisjonowanego, rotmistrza ułanów i trzeci, jeżeli nie najliczniejszy, to najgłówniejszy powagą wodza swego Edmunda Różyckiego, dymisjonowanego pułkownika generalnego sztabu, którego Rząd narodowy mianował naczelnym wodzem powstania na Wołyniu, w randze generała. Oddział formował się w lasach między Borkowcami i Karpowcami w żytomierskim powiecie, skąd miał wyruszyć na zachód w głąb Wołynia. Na Podolu zaś, ruch został powstrzymany, o czem powie się później.

Siedzieliśmy w bolesnych rozpamiętywaniach, ścieśnieni po celach, o ile się dało natasować, prawie jeden na drugim. Wyprowadzano nas, niemal co drugi dzień, na ciasny dziedziniec więzienny, lub na korytarze, do apelu, szczelnie sprawdzając czy kogo nie brakuje. Naraz, po takim apelu, około 10 maja, przeczytano listę, mniej więcej około stu więźniów i tym kazano wychodzić za bramę, a stamtąd po dokonaniu formalności, poprowadzono natychmiast, pod silną wojenną eskortą, do Kijowa, do fortecznych kazamatów. Na trzeci dzień ta sama operacja. Pewni byliśmy, że tym sposobem wszystkich

nas przeprowadzą do Kijowa. Był taki projekt na pewno, póki się trzymały wszystkie trzy oddziały wołyńskiego powstania, niedaleko od siebie, w okolicy Połonnego, operując. Bano się, by Różycki, połączywszy się z dwoma innemi oddziałami, korzystając z małej podówczas ilości wojska, nie ubiegł Żytomierza, chociażby na czas krótki—dla powiększenia jedynie szeregów swoich więźniami i zasilenia kasy. Niestety, jeżeli nawet Różycki miał podobny plan, to mu go całkiem sparaliżowano pod Miropolem. Dziesiątego, czy jedenastego maja, ujrzeliśmy smutny i rozdzierający nasze serca widok. Przywieziono nowych jeńców, około 150, między którymi byli i ranni. Okazało się, że to są jeńcy z bitwy Miropolskiej—wszyscy z oddziału Chranickiego, a kilkunastu między nimi z oddziału Różyckiego. Od tych biedaków dowiedzieliśmy się, że Chranicki pod Miropolem poniósł wielką stratę, że został pobity przez celnych strzelców Finlandzkich, że bronił się mężnie, że odcięto mu awangardę, która, gdy zaczęły padać często trupy i ranni, złożyła broń przed przemagającą siłą, a Chranicki, z resztą oddziału cofnął się w lasy. Z chaotycznych opowiadań więźniów dało się po kilku dniach wyłonić następującą prawdę, którą i dziś jeszcze, porównawszy z tem, co później słyszałem i z tym, co od niewoli pozostałych jeszcze naocznych świadków, osobiście, w szeregach Różyckiego walczących i ludzi całkowicie wiary godnych dowiaduję się,—opowiadam co następuje.

Różycki przybył do Borkowic około 25 kwietnia, miał nadzieję, to jest obiecywano mu—zebrania się przynajmniej tysiąca ludzi, na dniu do wybuchu powstania wyznaczonym. Aż tu naraz 25 kwietnia w Borkowieckim lesie, jako głównym punkcie zboru, znalazło się zaledwie około 100 powstańców, mizernie uzbrojonych, na dobrych wprawdzie koniach. Niektórzy mieli dubeltówki, niektórzy pojedynki, trocha pałaszy, trocha rewolwerów, a resztą piki, a właściwie jakieś nieosobliwe drzewca, a na nich poosadzane, po większej części, nie groty lanc, ale dłuta, lub zaostrzone zęby bronowe.

Dowiedziałem się później, już po wyjściu z więzienia, że Rząd narodowy, po przekonaniu się, że formowanie się powstania idzie u nas nie tęgo, że owa zapowiadana przychylność

ludu rusińskiego, jest tylko ułudną bajką, a dostawa karabinów i amunicji, mających nadchodzić z zagranicy, połączoną jest z nieprzezwyciężonemi przeszkodami—nakazał powstrzymać powstanie. To wszystko było słuszne i sprawiedliwe, ale bardzo późno nadeszło. Na Podolu odebrano rozkaz ten jeszcze w porę i dlatego tam, pomimo takiegoż jak i u nas przygotowania, powstanie nie wybuchło. Na Wołyń, wprost do Różyckiego, przywiózł rzeczony rozkaz Kamil Mierzejewski, dopiero 25 kwietnia. Powstańcy już się zaczynali zbierać, inne oddziały nie miały już sposobności prędzej jak za trzy dni rozkaz powstrzymujący dostać, to jest wtedy, gdy będą już zebrani i działania rozpoczną. Nic więc dziwnego, że Różycki powiedzał posłowi: za późno już panie, co Bóg da to stać się musi—innym oddziałom nie czas już dawać znać, a co do mnie, mam w Bogu nadzieję, że jeżeli nie zwyciężę, lub nie zginę, to postaram się tych co ze mną będą uprowadzić za granicę, tam będą mogli służyć ojczyźnie jak kto umie i będzie mógł i tak jak powiedział—zrobił, lecz o tem będzie w swoim miejscu.

Ruszył tedy Różycki z tą małą garstką chłopaków, szykując i organizując w ciągu 26 kwietnia, zaraz nazajutrz i 27 kwietnia był już w Lubarze. Jako dobry wódz, był on zawsze dokładnie informowany o wszystkiem i prowadził oddział w porządku wzorowym. Zaraz nam o tem powiedziano, co się też następnie potwierdziło najzupełniej. Otóż wiedział on, że w Lubarze niema żadnego wojska, oprócz kilkunastu inwalidów, używanych dla przeprowadzenia aresztantów, na tak zwanym etapie. Etap ten znajdował się przy wjeździe do Lubaru traktem berdyczowskim, a Różycki tymże właśnie traktem wchodził. Szpica prowadzona przez oficera, posunęła się prosto pod ów etap. Na lewo od etapu jest stary murowany most, przez który wjeżdża się do Nowego miasta. Z pod tego mostu, w tym momencie gdy owa szpica zbliżała się do etapu, z kilkunastu karabinów dano do nich ognia. Luzak oficera prowadzącego szpicę wypalił z dubeltówki do najbliższego żołnierza i położył go trupem, wtedy reszta żołnierzy pierzchnęła, wraz z oficerem, w ogrody i za Słucz, popędzono za nimi, dwuch, czy trzech złapano i na tem się skończyło. Różycki z łatwością opanował etap i tak zwany cekhauz, w którym,

oprócz niewielkiego zapasu krup i mąki, znaleziono kilka starych popsutych karabinów—i poszedł do Starego miasta, położonego już za Słuczą na lewem jej brzegu, tam aresztował stanowego i nie pozwalając nikomu wychodzić z szeregów, po krótkim wytchnieniu, poszedł w górę ponad rzeką za folwark Strzyżawkę i tam na błoniach nad Słuczą rozłożył się obozem, porozstawiawszy na wsze strony potrzebne pikiety. Tam przenocował, a na drugi dzień 28 kwietnia przestał w tym obozie do wieczora prawie, dokonywując opatrunku i przyjmując nowozaciężnych, których przybyło około czterdziestu, nieźle uzbrojonych. Około południa jeden z oficerów, mianowicie Stanisław Dunin, z rozkazu generała, wyjechał z oddziałem konnych do kancelarji gminnej (Wołosti), gdzie kazano zebrać się chłopom. Jakoż zebrali się, a z nimi pop Błahoczynny w ryzach z krzyżem w ręku. Przeczytano im Złotą Hramotę i wręczono takową. Ku wieczorowi oddział ruszył pod Bite Jezioro, jest to folwark Lubarski niedaleko Giżowszczyzny, tam uwolniono z aresztu Stanowego i zabranych żołnierzy i ruszono do Derewicz, gdzie przestano przez 29 i 30 kwietnia. W Derewiczach kuto piki, i osadzano lance na drzewcach, których się tam znalazło dużo suchych i dobrze przygotowanych. 1-go maja ruszył Różycki do Połonnego, zajął tam, na przedmieściu Marjanie, na lewem brzegu rzeki Chomor zwanej, dawny obóz artylerji i tam przestał do 7 maja. Przez ten czas, niemal codziennie powiększała się liczba powstańców i urosła tak, że kawalerję rozdzielono na cztery szwadrony przeszło, po 150 ludzi każdy, i kompanję piechoty w 160 ludzi uformowano osobno. Tutaj odbywały się codziennie ćwiczenia wojskowe, zaprowadzony był rygor i porządek iście wojskowy, każdy dostał broń, na jaką zdobyć się można było. Piechota strzelby, a komu ich brakowało, kosy stosownie osadzone. Kawalerja również strzelby, kto miał, a kto pałasze, a oprócz tego wszyscy lance. Oddział dostał chorągiew amarantową, na której był, srebrem szyty, z jednej strony Orzeł polski, a z drugiej Pogoń litewska. Odbył się uroczysty obrzęd poświęcenia tej chorągwi przez kapelana oddziału ks. Szczeniawskiego i przybicie jej do drzewca, przez oficerów, przyczem kapelan miał śliczną i stosowną naukę. Przybijano chorągiew tym porząd-

kiem: najprzód naczelnik przybił pierwszy gwóźdź, potem szwadroniści i reszta oficerów, każdy po jednym gwoździu. Siódmego, czy ósmego maja ruszono już pełnym oddziałem z chorągwią rozwiniętą do Miropola. Oddział szedł w najlepszym porządku, uszykowawszy się tak, że naprzód szły dwa szwadrony kawalerji, potem piechota, a z nią znów dwa szwadrony kawalerji. Gdy się zbliżano do Miropola, z przedmieścia Kamionki zaczęli się pokazyć kozacy dońscy, to wysuwając się to znikając, po kilku. Wtedy naczelnik kazał pierwszym dwóm szwadronom cofnąć się, a piechotę swoją wysunął naprzód i uszykowawszy w bojowym porządku, ruszył do miasta. Gdy weszli na Kamionkę, już kozacy, których było dwie sotnie, przeszli Słucz, zabarykadowali, czem mogli naprędce, mosty przy młynach na grobli i zajęli wzgórze na prawym brzegu rzeki, koło dworu i koło kościoła i poczęli dawać ognia do nadchodzących powstańców, lecz gdy zobaczyli, że ci w największym porządku, odstrzeliwując się, idą ku grobli i, łatwo usunąwszy barykady zajmują groblę i posuwają się naprzód—pierzchnęli do miasteczka tak szybko, że kilka czapek i trzy karabiny pozostawili na placu, powstańcy prą ich dalej, oni w nogi na Stary Miropol, wioskę odległą od miasteczka parę wiorst, a stamtąd, nie czekając, traktem cudnowskim dalej. Oczywiście, że w tym manewrze kozackim Różycki widzi tylko chęć zaciągnięcia go pod ogień, niedaleko znajdującej się piechoty—co rzeczywiście miało miejsce, lecz manewr ten nie złapał przezornego wodza. Różycki nietylko nie ściga kozaków, pozostawia ino pikietą z sześciu konnych za cmentarzem i każe jej czuwać na obydwa trakty—Romanowski i Cudnowski, rozkazując dawać sobie znać, natychmiast, gdyby się skąd piechota pokazała. Nadto, w ogrodzie proboszcza pozostawia posterunek z dwudziestu ludzi piechoty, w dobrą strzelbę uzbrojonych, z Puchalskim na czele i każe, gdy pikieta da znać o zbliżeniu się piechoty rosyjskiej i popędzi do obozu dla obwieszczenia o tem dowódcy, zachować się cicho, przepuścić nieprzyjaciela, i gdy bój się rozpocznie z główną siłą—dać ognia z tyłu, gdy już nieprzyjaciel będzie się parł na groble. Tak rozporządziwszy, Różycki cofa się za Słucz i za Kamionką, na polu, przy połońskim trakcie biwakuje. Tymczasem,

tegoż samego dnia, którego Różycki, zbliżając się z Polonnego, zajął lewy brzeg Słuczy, a na prawym jej brzegu ustawił pikietę i posterunek, Chranicki, z oddziałem przeszło 800 ludzi piechoty, nieźle uzbrojony w strzelby i kosy, zbliża się z prawego brzegu Słuczy pod Miropol i rozkłada się obozem koło tartaku, odległego o 3—4 wiorsty od miasteczka. Nie wiem dlaczego naczelnicy z wieczora się nie porozumieli, lub czy porozumiewali się, nie mogłem się nigdy dobrze dobadać, ani od miejscowych zaraz po bitwie do więzienia przyprowadzonych, ani też później od powstańców z obydwóch oddziałów—prawda, że dotąd nikogo z oficerów ze sztabu naczelnika nie spotkałem—dość że fakt, później powstałej bitwy, miał miejsce jak następuje. Na drugi dzień raniutko, przywieziono do miasteczka podwodami, dwie roty celnych strzelców finlandzkich i przyszły z nimi te same wczorajsze dwie sotnie kozaków. Rota strzelców miewa zwykle 250 ludzi szeregowych, a sotnia kozaków najmniej 150 koni co tedy razem stanowiło 800 ludzi. Strzelcy, uszykowawszy się na rynku, posuwają się w porządku bojowym koło kościoła ku grobli, by atakować Różyckiego. Co się stało z ową pikietą, za cmentarzem pozostawioną nie można było ani wtedy, ani też później się dowiedzieć—ona poprostu znikła. Puchalski zaś mało roztropny i prawdopodobnie rozespany, jako bardzo surowy żołnierz, z dyscypliną i bojem zupełnie nie obyty, nie czeka dojścia do grobli i rozpoczęcia boju z główną siłą, lecz zaledwie z plebanją zrównali się strzelcy—daje do nich, z ogrodu i z poza muru kościelnego, ognia—strzelcy mieszają się na taką niespodziankę, zwracają w lewo, obejmują sadybę dworską na przeciwległym wzgórzu będącą—rozpoczynają kanonadę do kościoła i plebanji. Różycki słysząc strzały sztucerowe, a nie mając żadnej wieści od pozostawionej pikiety i posterunku, bierze to za bój z Chranickim. Dla przekonania się, posyła rekonesans z całego szwadronu z oficerem Maurycym Prozorem, a z nimi oddział piechoty z oficerem Duvalem. Strzelcy, widząc zbliżających się z za Słuczy, a słaby ogień od kościoła i plebanji, zmieniają front przeciw nowonadchodzącym i mocno zaczyna ich prażyć, tak że pada natychmiast trupem Horbkowski, raniony kulą w skroń, paru innych też, dostaje kulą w rękę oficer kawalerji

Pongowski, pod Prozorem koń dostaje postrzał w szyję i rekonesans cofa się. Strzelcy nie posuwają się za cofającymi, lecz tylko opanowują plebanję, biorą w plen Puchalskiego i cały jego oddział. Gdy to się dzieje w Miropolu, kozacy wyszpiegowawszy o Chranickim, dają o nim znać strzelcom i prowadzą ich za cmentarz—tam strzelcy rozkładają się po rowach, na zasadzkę, a kozakom udaje się wywabić Chranickiego w pole. Chranicki posyła awangardę, ze stu kulkudziesięciu ludzi, dla przepłoszenia kozaków, ci natknęli się zaraz na zasadzkę, która fatalnie ich praży, odcina od reszty oddziału, opanowuje zupełnie i zmusza do złożenia broni przed tą przemagającą siłą. Biorą ich w plen. Chranicki z pozostałymi cofa się lasem w dół po Słuczy, przebywa rzekę, manewruje w lasach Baranowieckich, Smondyrowskich, Sławuckich i po tygodniowych prawie manewrach, dostaje się w końcu do obozu Ciechońskiego pod Mińkowcami, o czem będzie później. Teraz wracam do Różyckiego. Ten widząc, że nieprzyjaciel opanował Miropol tak łatwo i prędko, że aż jego posterunek i pikieta przepadły, widocznie pewnym był, że Chranicki nie mógł temu zapobiedz—i dowiedziawszy się o przemagającej sile nieprzyjaciół, postanawia się cofnąć. Natychmiast ściąga swój rekonesans posyła wraz z rozkazem furgon dla zabrania ranionych i cofa sę nazad od Połonnego—przechodzi Połonne i po pod lasami dociera do Nuczpał, prawdopodobnie spodziewając się spotkać z cofającym się również z pod Miropola Chranickim. W Nuczpałach spotyka go Ciechoński. Różycki mu oddaje wszystką swoją piechotę, do 140 ludzi liczącą—nie dostaje od Ciechońskiego żadnych o Chranickim wiadomości, a prawdopodobnie dostaje z innej strony wieści, które go zmuszają do forsownego marszu po pod Lubar do Ostropola.

(Dokończenie nastąpi).